



SANDRA CHASTAIN

Arkadia

Przełożył: Wojciech Łoś
Tytułoryginału: Run Wild with Me



ARKADIA

Dlaczego Sam poprosił Eda, aby ten wytłumaczył, skąd się wzięła rana na czole? Coś tu się nie zgadzało. I coś było nie w porządku na miejscu wypadku. Jeśli ciężki sprzęt magazynowano w okręgu Meredith, Ed powinien wiedzieć, gdzie. Przemierzał codziennie cały okręg wzdłuż i wszerz. Zdawał sobie sprawę, ile trzeba na to miejsca. Jako właściciel tego rodzaju firmy, Sam miał odpowiednie magazyny. Ed powinien... Ed!

Andrea błyskawicznie odwróciła się i wybiegła z komisariatu. Wcześniej zdążyła jeszcze tylko powiadomić Agnes, dokąd zamierzała się udać.

Prolog

Ciepły wiosenny deszcz zaczął padać w okolicach Atlanty w stanie Georgia. Sam miał szczęście, że ktoś podwiózł go aż tak daleko. Szedł teraz wiejską drogą w bledącym świetle późnego majowego popołudnia.

Woda ściekała strumieniami po mocno znoszonej kurtce, a wilgotne paski od plecaka wpijały się w ramiona. Wkrótce będzie musiał znaleźć jakiś nocleg. Nie po raz pierwszy jego schronienie stanowić może stodoła albo miejsce pod drzewem.

Od ponad dziesięciu lat Sam był w drodze. Zatrzymywał się na krótko to tu, to tam - w zależności od pracy. Już nieraz poważnie myślał o tym, aby się gdzieś osiedlić na stałe. W mijających latach coraz częściej nawiedzały go takie myśli. Problem polegał na tym, że nie miał na świecie własnego miejsca. Wątpił nawet, czy ono kiedykolwiek istniało. Na próżno starał się zrozumieć, czego właściwie oczekuje od tego małego miasteczka w Georgii.

Okręg Meredith - oznajmiał przydrożny znak. Arkadia - dziesięć kilometrów. Arkadia. Nazwa miasta ostro wdarła się w jego świadomość, powodując dziwny ból. Nie przybył tu dla siebie. Przybył tylko dla niej.

Nigdy przedtem nie był w Arkadii. Miejsce wydawało mu się wręcz nierzeczywiste. Teraz jednak, ku własnemu

zdumieniu, zauważył, że opanowało go nieodparte pragnienie ujrzenia miasta na własne oczy.

Dochodzący zza pleców odgłos silnika przyciągnął jego uwagę. Kiedy się obejrzał, ciężarówka zwolniła.

- Dokąd idziesz, chłopcze? - Stary farmer wychylił głowę przez okno i splunął.

- Do Arkadii - odpowiedział. Już od dawna nikt nie nazwał go chłopcem. Nie pozwalał nikomu zwracać się do siebie w ten sposób od czasów obozu szkoleniowego na wyspie Parris. Nikomu, z wyjątkiem własnej matki. Dla niej słowo „chłopiec” łączyło się w sposób naturalny z takimi zwrotami, jak: „mój drogi” czy „mój ukochany”. Potem zwykle następowało owo krótkie zdanie: „Kocham cię”.

- Do Arkadii... - Farmer zamyślił się. - Ja także. Wsiadaj.

- Nie tracąc czasu na dalszą dyskusję, przemoczony do nitki podróżny zdjął plecak i wrzucił go do ciężarówki. Po chwili siedział w środku, wciskając nogi pod tablicę rozdzielczą.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Masz coś do załatwienia w Arkadii?

- Może.

- Rodzina?

- Nie sądzę. Już nie.

- Śmiesznie mówisz.

- Ty również.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której farmer zdjął swoją przepoconą czapkę i podrapał się po głowie.

- Nie jesteś zbyt rozmowny, co?

- Nie. - Sam nie starał się być tajemniczy. Po prostu trudno mu było rozmawiać z tym starcem - zbyt wiele różnorodnych wrażeń atakowało jego zmysły. Nigdy nie odwiedził Arkadii; mimo to miał wrażenie, że stanie się tutaj coś bardzo ważnego. Podobnych odczuć doznawał,

patrzając na kawałek drewna i tworząc w myślach gotowy przedmiot.

- Nazywam się Otis, Otis Parker - przedstawił się farmer. - Zepsuł mi się traktor. Pojechałem do Cottonboro po części zamienne.

Deszcz ustał. Wycieraczki zaczęły głośno trzeć o szybę. W oddali pojawiły się pierwsze światła. Otis zatrzymał ciężarówkę.

- Tutaj skręcam, chłopcze. Nie dowiedziałem się w końcu, jak ci na imię, ale jeśli zamierzasz znaleźć jakiś motel, to zapewniam, że nic takiego w Arkadii nie istnieje. Co do hotelu, wątpię, aby zechcieli przyjąć kogoś nieznanego.

- Sam Farley, panie Parker, i dziękuję za podwiezienie. Nie wie pan przypadkiem, gdzie mieszka pani Mamie Hines?

Farmer splunął raz jeszcze przez otwarte okno, po czym spojrzał na Sama z dziwnym wyrazem twarzy.

- Szukasz domu Mamie Hines?

- Czy coś w tym złego? - Zaczął drżeć z zimna; prawie nieprzytomny ze zmęczenia pragnął zakończyć podróż, zanim ponownie się rozpada.

- Cóż... - Parker zawahał się. - Nie. Idź prosto tą drogą do samego miasta. Kiedy dojdiesz do skrzyżowania, skręć w prawo. Dom stoi na końcu ulicy. Teraz jest szczelnie zabity deskami, dlatego może być słabo widoczny w ciemności. Jeśli zabłądzisz, poproś kogokolwiek o pomoc. Jestem pewien, że każdy chętnie wskaże ci drogę.

- Zatem nie jest uludą - na wpół szeptem powiedział do siebie Sam. Niemal przez całe życie obietnica tego domu tkwiła w jego podświadomości. Stanowiła ostoję bezpieczeństwa w najtrudniejszych chwilach. Naprawdę wątpił w jego istnienie. - A moja... pani Hines? - spytał głośno.

Stara Mamie zmarła ponad dwa lata temu. Jej ciało

spoczywa na cmentarzu metodystów. Kim jesteś, Samie Farleyu?

- Mamie Hines była moją babką. - Wyjął plecak z ciężarówką i wciągnął na plecy. Śmierć Mamie boleśnie go zaskoczyła. Obwieszczenie podatkowe nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości co do tego, że dom jest wystawiony na licytację. Nic nie mógł na to poradzić. Zaległe opłaty stanowiły sumę, która znacznie przerastała jego możliwości finansowe. Zastanawiał się, po co właściwie tu przybył.

Zostanie na tę jedną noc. W końcu to zawsze jakiś dach nad głową. Poza tym zgodnie z prawem do licytacji dom należy do niego. O tak, chociaż raz usiądzie na werandzie, wyobrażając sobie ciastka i lemoniadę, o których opowiadała matka. Potem znów wyruszy w drogę. To miejsce nie różniło się niczym od innych. Tu również był zupełnie obcy.

Ponad nim, gdzieś na nocnym niebie, zaśpiewał smutno ptak.

„Arkadia. Jakże dziwna nazwa” - myślał, idąc w mroku.

Rozdział pierwszy

Błyskawice rozświetlały niebo, ukazując wiotkie gałęzi dzikich jabłoni; drzewa rosły po obu stronach alei prowadzącej do starego domu.

Andrea Fleming stała przy wozie policyjnym, próbując nie zważać na strugi deszczu spływające po kapturze i twarzy. Nie miała przy sobie latarki. Zostawiła ją na biurku w komisariacie razem z nabojami, które wcześniej wyjęła z pistoletu. Nawet włączone światła wozu u stóp wzgórza nie poprawiłyby widoczności na szczycie. Wyczerpałaby tylko w ten sposób akumulator.

Po chwili zastanowienia odrzuciła myśl o tym, żeby wrócić do miasta i zadzwonić po ojca. Pięć lat temu, kiedy powróciła do Arkadii, przyrzekła dbać o siebie. Jak dotąd udawało jej się to bez trudu. Poza tym Buck z pewnością nie zdołałby wspiąć się o kulach stromą aleją; głupotą byłoby próbować.

Rada miejska uznała swojego urzędnika za osobę dość kompetentną i powierzyła jej stanowisko szefa policji na czas choroby ojca. Andrea nie zamierzała ich zawieść. Prawdę mówiąc, wciąż nie była pewna, czy ma do czynienia z przestępcą. Jeśli nawet tak, to przecież nie będzie wiedział, że magazynek jej pistoletu jest pusty.

Kowboj o dzikim wyglądzie. Tak Louise Roberts opi-

sała mężczyznę, który przyszedł do niej, pytając o dom rodziny Hines.

Zjawił się w nocy kompletnie przemoczony. Wyglądał na wyczerpanego podróżą.

- Nie powiedział, kim jest? - zapytała Andrea, starając się, by jej głos brzmiał jak najbardziej oficjalnie.

- Nie. Wygadywał tylko jakieś dziwne rzeczy. Powiedział, między innymi, że przybył do miasta, aby posiedzieć sobie na werandzie Mamie i wypić lemoniadę, czcząc pamięć swojej matki. Kilka razy nazwał mnie „kochanie”. Naprawdę. Kiedy mówi, ściąga brwi w taki sposób, jak gdyby chciał cię przekonać, że zupełnie nie dba o to, co myślisz. Lecz tak nie jest.

Ostra struga deszczu uderzyła Andreę w twarz, przypominając o zadaniu, którego się podjęła. Obcy, kimkolwiek był, łamał prawo, i jej obowiązkiem było go powstrzymać. Natychmiast! Zgrzytając zębami i z trudem przełykając ślinę, ruszyła w górę przez gęste zarośla.

Już i tak straciła zbyt wiele czasu. Nie mogła się wyrwać od Louise.

- Tylko mały drobiazg dla Bucka - nalegała kobieta, jeszcze przy wyjściu wciskając Andrei ciastka własnego wypieku oraz termos z kawą.

Droga prowadząca do domu Mamie była bardzo błotnista. Andrea kilkakrotnie pośliznęła się w wartkim strumieniu, spływającym w dół alei. Wystająca gałąź zaczepiła o sznurek od kurtki i nagłym szarpnięciem zerwała jej z głowy kaptur. Kiedy dotarła wreszcie do werandy, jej włosy ociekały wodą.

Ostrożnie podniosła wzrok. Cień domu przypominał ogromnego ptaka, skulonego, z nastroszonymi skrzydłami.

Bez trudu przekonała Bucka, że świetnie sobie poradzi; jednak obowiązki policjantki w niczym nie przypominały pracy w urzędzie, która polegała na przyjmowaniu rachunków i kierowaniu sprawami miasta. Prawdę mówiąc,

oczekiwano od Andrei jedynie noszenia munduru w czasie nieobecności ojca. Przystępność nie istniała w Arkadii, nigdy też nie pojawiali się w mieście nieproszeni goście, przynajmniej do tej pory.

Z wysiłkiem wspięła się po schodach na werandę. Bez wątpienia ktoś był w środku. Przez wąską szczelinę między deskami dostrzegła słabe światło z salonu; prawdopodobnie blask świecy. Podniosła ciężką mosiężną kołatkę i kilka razy mocno zastukała.

- Halo, jest tam kto?!

Krople deszczu, miarowo uderzające w blaszany dach, zagłuszały wszystkie inne dźwięki. Najwyraźniej intruz nie zamierzał podejść do drzwi. W tej chwili pragnęła go tam zostawić i wrócić dopiero następnego dnia. Powstrzymała ją jednak myśl o Louise, która mieszkała przecież sama w sąsiednim domu. Przede wszystkim musiała zapewnić jej bezpieczeństwo.

Ten mężczyzna był obcy, a obcy nie mieli prawa tak beztrósco przybywać do Arkadii. Obcy mogli zranić najdotkliwiej, zranić serce. Wiedziała o tym aż nazbyt dobrze. Buck nigdy by się nie uchylił od wykonania swojego zadania. Ona również tego nie uczyni.

Przygryzła wargę. Ostrożnie opuściła werandę i obezšla dom. Odkryła, którądy intruz dostał się do środka. Deski z drzwi zostały zerwane, a zamek - naruszony. Andrea nerwowo odpięła kaburę i wyjęła pistolet. Zapukała kolejny raz. Cisza.

- Jest tam kto?

Cisza.

Jako jedyny stróż prawa w Arkadii, czuła się zobowiązana przeszukać dom. Zebrała całą odwagę, na jaką było ją stać, i pchnęła drzwi. Każdy krok powodował głośne skrzypienie podłogi. Zastygła na moment w bezruchu nasłuchując. Nic, tylko bicie jej serca i zacinanie deszczu nad głową.

Po cichu zsunęła płaszcz przeciwdeszczowy, rozważając jednocześnie następny ruch. Włożyła pistolet pod ramię i z bocznej kieszeni wyjęła niebieską czapkę, pod którą ukryła swoje długie włosy. Nie było sensu zdradzać przed włamywaczem, że jest kobietą.

Otworzyła kuchenne drzwi i bezszelestnie weszła do środka. Kierując się delikatnym migotaniem światła, dochodzącym z salonu, prześliznęła się przez kuchnię do szerokiego holu. Na zewnątrz ulewa niespodziewanie ucichła. Teraz jej kroki były jeszcze wyraźniej słyszalne.

- Jest tam kto? - starała się mówić niskim głosem. - Mam pistolet - ostrzegła w nadziei, że przeciwnik nie czai się na nią w ciemności.

Nadal żadnej odpowiedzi. Trzymając przed sobą pistolet jak tarczę, zrobiła kilka kolejnych kroków.

Wszystko stało się w jednej chwili. Kiedy tylko wyczuła za sobą jego obecność, gwałtownie złapał ją za gardło i boleśnie wykręcił ramię. Pistolet głośno uderzył o podłogę i zniknął w mroku.

- Nie ruszaj się! - rozkazał, tłumiąc dłonią jej krzyk. Jego słowa zabrzmiały w tej sytuacji absurdalnie. Przecież trzymał ją w paraliżującym uścisku.

- Puść mnie! - wykrztusiła. - Jestem z policji. - Słowa wypowiedziała tak niewyraźnie, że można było zrozumieć wyłącznie słabe „puść” i „policji”.

- O, nie. Nie puszczę cię, bratku, póki się nie dowiem, dlaczego tutaj węszysz.

Mężczyzna był wysoki, jego ręce robiły wrażenie odłanych ze stali. Andrea odczuwała coraz dotkliwiej ucisk na gardle. Co właściwie chciał uczynić? Nogi zaczęły jej słabnąć pod naporem tego masywnego ciała. Nagle potknęła się o jakiś przedmiot i straciła równowagę. Upadając zdążyła tylko wyswobodzić jedną rękę i łokciem uderzyć napastnika.

Mężczyzna rozluźnił nieco uchwyt, zgiął się wpół i nie-

spodziewanie odchylił do tyłu. Tym razem jego stopa natrafiła na przeszkodę. Stał na rękojeści pistoletu i w tej samej chwili poleciał na ścianę korytarza, odbił się i upadł na leżącą Andreeę.

Próbowała się poruszyć. Na próżno. „Może nie żyje” - ludziła się w skrytości ducha.

- Mówiłem ci, żebyś się nie ruszał - odezwał się charakterystycznym, nieprzyjemnym głosem.

- Gdyby to było możliwe... - mruknęła z rezygnacją.

Okrywał jej ciało niczym wilgotne płótno. Ze ściśniętych płuc powoli uchodziło powietrze. „Umieram - pomyślała. - Umieram na służbie, chociaż nie dokonałam jeszcze ani jednego aresztowania”. Stłuczona głowa pulsowała przejmującym bólem. Coś przypominającego kształtem twardy węzeł uwierało ją między piersiami. Mężczyzna podciągnął się lekko do góry, tak że leżeli teraz twarzą w twarz.

Czuła na czole jego ciepły oddech. W tak niekorzystnym położeniu nie powinna się zdradzić, że jest kobietą. Poczowała mrowienie w dolnej części ciała; ciężar napastnika uniemożliwiał prawidłowe krążenie krwi.

Po chwili węzeł między jej piersiami zaczął się rozluźniać. Była to zaciśnięta dłoń mężczyzny. Napięcie wzrosło do maksimum, gdy nieznacznie przesunął palce.

- Do licha! Kobieta! - Obcy szybko cofnął rękę i przechylił się na bok. - Do diabła, czego szukasz po nocy w tym domu? Mogłem cię zabić.

- Prawie ci się udało. Złaż ze mnie, kupo mięśni, zanim się uduszę. - Zepchnęła go z siebie i objęła pękającą z bólu głowę.

- Jesteśmy kwita. Być może nigdy już nie będę mógł zatańczyć teksaskiego two-stepa - powiedział intruz wstając.

Nawet na niego nie spojrzała.

- Gdzie jest moja czapka i co zrobiłeś z pistoletem? -

nalegała, lecz zaraz zrozumiała absurdalność swojego pytania. Zrobiła z siebie pośmiewisko. Po pierwsze, pistolet nie był naładowany; po drugie, szyderczy uśmiech na twarzy wroga mówił dość jasno, co on o tym sądzi.

- Pistolet? - Podniósł ją, wbijając palce w lewe ramię.
- Ktoś ci pozwolił nosić pistolet? Podejdź do światła, muszę ci się dobrze przyjrzeć.

- Do światła? - Próbowała uwolnić ramię, ale spowodowała tym jedynie większy ból.

- Do ognia. - Pchnął ją do salonu. - Rozpalałem w kominku, kiedy włamałaś się do domu.

Ogień przygasł na chwilę, gdy z komina opadły nań krople deszczu, potem buchnął wysokim, jasnym płomieniem. Intruz wyglądał na typowego włóczęgę o zachmurzonym czole i przeszywających ciemnych oczach. Andrea westchnęła. Tym razem jednak nie ze strachu, ale ze zdumienia. Dziwne dzwonięcie w uszach również nie było spowodowane wyłącznie silnym uderzeniem w głowę.

Louise Roberts nie myliła się.

Mężczyzna miał istotnie dziki wygląd. Jego czarne włosy były za długie, brwi i rzęsy zbyt teatralne. Postrzępiona ciemna broda potęgowała jeszcze groźny wygląd. Przygarbiony i silny nie potrafił ukryć spojrzenia, które zdradzało człowieka doświadczonego przez los.

- Co to za miasto, gdzie kobiety bawią się po nocy pistoletami? - Teraz mówił spokojnie, robiąc przerwy między poszczególnymi słowami, jakby nie był pewien, co o niej myśleć.

- Ja się nie bawię. - Jej głos zdawał się dochodzić z oddali, bowiem całą energię skupiła na tym, aby uciec od zniewalającego spojrzenia i wyrwać rękę z krepującego uścisku.

- Szkoda. Uwielbiam gry. Gdybyś tylko zechciała... - pochylił się, trzymając ją mocno przy sobie.

- Radzę ci nie wygadywać takich rzeczy - zdecydowa-

nym głosem powiedziała Andrea. - Lepiej będzie, jeśli od razu uświadomisz sobie, że masz do czynienia z szefem policji i jesteś aresztowany.

- Aresztowany? - Uśmiechnął się ironicznie, ani na chwilę nie rozluźniając uścisku. - No cóż, kochanie, zdaje się, że mamy pewien problem. Kto kogo aresztował?

- Łudzisz się tylko, i nie nazywaj mnie w ten sposób.

- W porządku, jestem ugodowym facetem. Zatem, jak mam cię nazywać?

- Wystarczy: porucznik Fleming. A teraz weź te łapska. To nie ja, ale ty musisz się ze wszystkiego wytłumaczyć. - Skrzyżowała ręce na piersiach i wyprostowała się. - Gnieciesz mój mundur.

- Mundur? - Jego spojrzenie powędrowało z twarzy Andrei na niebieską koszulę. Wciąż nie dowierzając, odwrócił dziewczynę w kierunku ognia.

Kiedy tylko światło padło na jej twarz, Sam Farley zrozumiał, że popełnił błąd. Podczas swoich podróży niejednokrotnie wchodził w konflikt z prawem, toteż niebieski mundur nie robił na nim szczególnego wrażenia. Teraz został zaskoczony przez kobietę.

Zacisnął usta. Andrea stała naprzeciw niego, z dumą odpierając badawcze spojrzenie. Wyglądała jak kot, który zeskoczył z płotu i zjeżył sierść, grożąc intruzowi. Kropla deszczu spłynęła po jej twarzy i spadła na koszulę, tworząc ciemną plamę tuż nad kieszenią - kieszenią, która przykrywała lewą pierś dziewczyny.

Jego spojrzenie ześliznęło się z jej różowych policzków na gładką szyję. Andrea była wysoka. Czarne, mokre loki opadały na ramiona i plecy. Miała niebieskie oczy - oczy w kolorze nieba Nevady, latem, tuż przed burzą.

- Namiętna - wyszeptał. - Tak, tak. - Zdołał w końcu wrócić myślą do jej oskarżenia. - A więc jesteś gliną. Przepraszam, nie poczułem odznaki.

- To chyba jedyne, czego nie poczułeś, kowboju. -

Słowa nieoczekiwanie wyrwały się jej spod kontroli. Zaczzerwieniała się ze wstydu. Buck nigdy nie popełniłby podobnej gafy i ona również nie powinna była tego zrobić.

- Skoro już wiesz, kim jestem - powiedziała z naciskiem, odsuwając się od niego jak najdalej - wytłumacz mi, proszę, dlaczego włamałeś się do domu pani Hines?

- Ponieważ nie miałem klucza.

Mówił tak szczerze, że Andrea wierzyła mu.

- Na swój szczególny sposób odpowiedź wydaje się zupełnie logiczna - przyznała. - A czy mógłbyś również wytłumaczyć, dlaczego?

- Nie. Nie sądzę, abym potrafił - odparł, kierując gniewne spojrzenie na ogień. Zmarszczył brwi. - Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem, przybywając tutaj. Zawsze myślałem, że przesadzała. Być może jednak to właśnie ona miała rację.

Wyprostował ramiona, a uśmiech rozjaśnił przygnębioną twarz. „Gdyby obciął włosy i ogolił się, mógłby być całkiem... interesujący” - pomyślała Andrea, a głośno zapytała:

- Kto? Przed chwilą powiedziałeś, że być może to właśnie ona miała rację. Kogo miałeś na myśli, panie... Hej, kowboju, jak się nazywasz?

- Sam.

- Po prostu Sam?

- Samuel Granger Farley. Samuel przez dwa „m”. Moja matka chciała mnie nazwać Farley Granger, tak bowiem nazywał się gwiazdor filmowy, w którym zakochała się w dzieciństwie. Była kobietą z wyobraźnią, w przeciwieństwie do siostry przełożonej w szpitalu, która nie potrafiła zapisać imienia. Moja matka z kolei nie umiała go przeliterować.

- Skąd jesteś, Samuelu przez dwa „m”? - Patrzył na nią, a jednak była pewna, że jej nie widzi. Wydawało się,

że na chwilę w ogóle o niej zapomniał. Czekala więc cierpliwie, by wrócił do rzeczywistości.

- Znikąd, a może raczej - z wielu miejsc - powiedział w końcu. - Przyjmijmy, że jestem zwykłym włóczęgą.

Nagle silne uderzenie gromu wstrząsnęło całym domem, wprawiając w drżenie ściany i okna.

Piorun przeciął niebo, zwinął się w ognistą kulę i wpadł do salonu - tuż pod ich stopy. Rozbłysnął jeszcze na podłodze pomarańczowym płomieniem i zniknął.

Andrea krzyknęła. W jakiś przedziwny sposób znalazła się nagle w ramionach mężczyzny. Silniejszy podmuch wiatru oderwał od okna jedną z desek i rzucił ją na werandę. Krople deszczu uderzały rytmicznie w szyby.

- Brawo! Z pewnością to pani zorganizowała te piękne fajerwerki, pani porucznik - odezwał się Sam z delikatnością w głosie. - Rola twojego więźnia coraz bardziej mi odpowiada. - Dotknął szyi Andrei, sprawiając, że jej puls przyspieszył jak dzikie zwierzę, ścigane przez myśliwskie psy Otisa Parkera.

- Fajerwerki? Jego słowa przeraziły Andreę. Czowała dreszcze na całym ciele, a jednocześnie cudowne uniesienie, którego nie potrafiła zwalczyć. Wydawało jej się, że jest lisem na próżno próbującym uciec pogoni.

- Puść mnie. - Kiedy odepchnęła go od siebie, poczuła dziwny niepokój. Kim jest ten mężczyzna? Jak udało mu się obrócić aresztowanie w intymne spotkanie? - Proszę - powiedziała ściszym głosem. - Już wystarczy. Nalegam, żebyś wytłumaczył jasno, po co tu przyszedłeś, i to zaraz.

Popatrzył na nią ze zdumieniem i przecząco pokręcił głową.

- O, nie. Nie zamierzam tego uczynić. Nie postąpiłbym mądrze. W tej chwili jednak chętnie skorzystałbym z telefonu.

- Jeśli chce pan wezwać pomoc, radzę od razu zrezygno-

wać z tego pomysłu, panie Farley. Telefonu tu nie ma, taksówek również, a policja jest na miejscu.

- Miałbym wzywać pomoc? Ja? Nigdy. Już dawno się nauczyłem sam troszczyć o siebie. Ośmielę się tylko spytać, czy reprezentujesz prawo w tym mieście.

- Tego wieczoru tak. Jeśli chcesz skorzystać z telefonu, z przyjemnością podwiozę cię na komisariat.

- Chciałbym jedynie coś zjeść, kochanie. Mam ochotę na pizzę.

- Pizzę? - Zaczęła się głośno śmiać. Absurdalność jego prośby rozładowała napięcie. - Najbliższa pizzeria jest kilkanaście kilometrów stąd. - To prowincja, panie Farley. O tej porze wszystko już zamknięte.

- No to cudownie... A przysiągłem sobie, że już nigdy nie będę głodny.

Ten człowiek sprawiał dziwne wrażenie. Andrea zaczęła wątpić, czy w ogóle znał panią Hines. Przecież gdyby tu był wcześniej, na pewno wiedziałaby o tym. A nawet jeśli nie ona, to ktoś inny. Sam Farley nie należał do ludzi, których się łatwo zapomina. Postanowiła zachować wobec obcego jak największy dystans, ale kiedy on choć na chwilę rezygnował ze swojej powagi, Andrea czuła, że traci nad sobą kontrolę. Nawet pokryty kurzem, pajęczynami i krwią był... Kwią?!

- Panie Farley! - krzyknęła. - Pan jest ranny.

- Na pewno nie w miejsce, które mogłaby pani zobaczyć.

- Krwawi pan! - Rzeczywiście był ranny. Co mogło się stać? Przecież ona tego nie zrobiła. Uderzyła go tylko w brzuch. A może myliła się. Może okradł bank i został postrzelony. Może miał wypadek samochodowy i dlatego przybył do miasta pieszo. Co z niej za policjantka? - Przepraszam, że cię uderzyłam. Niczym się jednak nie martw - pocieszała go. - Jako policjantka znam się świetnie na udzielaniu pierwszej pomocy. Apteczka jest w sa-

mochochodzie - westchnęła. Miała nadzieję, że rana nie okaże się poważna.

- Ty tu rządzisz, szefie. Co tylko rozkażesz. Zdajesz sobie jednak sprawę z tego, że mógłbym cię oskarżyć o brutalność? Jaka jest za to kara w Arkadii?

- Brutalność policji? - Wzruszyła ramionami. - Dlaczego miałbyś to zrobić?

„Buck. Muszę koniecznie wezwać Bucka” - pomyślała. Odwróciła się już w kierunku drzwi i nagle przypomniała sobie, że noga Bucka oblepiona jest białym gipsem, na którym jedna z pielęgniarek narysowała dwa małe serca.

„Spokojnie” - powiedziała do siebie w myślach. Nie mogła pozwolić na to, aby ten mężczyzna nad nią zatriumfował. W końcu była szefem policji. Do niej należało opatrzenie rannego. Ale od czego zacząć?

Nie potrzebowała wiele czasu, by zdać sobie sprawę z tego, że nie ma najmniejszego pojęcia o opatrywaniu ran. Rozumiała, iż samo założenie bandaża to trochę za mało. Jej pierwszy dzień w roli szefa policji zanosił się na kompletną klęskę. Będzie musiała się przyznać do brutalności wobec niewinnego człowieka i zabrać go od razu do szpitala.

Sam zbliżył się do ognia, aby obejrzeć dokładniej krwawą plamę, sięgającą od klatki piersiowej po lewe ramię. Zdjął koszulę.

- W porządku, kochanie, badaj mnie. Należę do ciebie.

Wstrzymała oddech i z trudem przełknęła ślinę. Bez koszuli wyglądał jeszcze wspanialej. Mógł mieć około trzydziestki. Niewątpliwie należał do ludzi zahartowanych przez życie. Jego tors pokrywały liczne blizny; złotobrazowa skóra lśniła w świetle ognia, ale...

- Panie Farley! Co to jest?

Skierował wzrok na własny tors i po chwili uśmiechnął się dumnie.

- Masz na myśli mój tatuaż? - Stał tak, aby mogła wyraźnie zobaczyć wielkie różowe serce ze słowem MATKA wpisanym pośrodku. - Co o tym sądzisz?

- To, co każda kobieta pomyślałaby na moim miejscu: że brakuje ci jeszcze tylko kolczyka w uchu i motocykla. To odpychające.

- Nie każda kobieta - zaprzeczył łagodnie. - Mojej matce podobał się. - Trzymał w ręku koszulę; jeszcze raz popatrzył na plamę. - Obawiam się, że to ciebie będziemy musieli zbadać. To nie moja krew.

- Mnie? - Wahała się, spoglądając na przemian to na jego koszulę, to na własny mundur. Nie było na nim najmniejszej plamki. O co mu chodzi? - Oczywiście, nie zgadzam się na żadne badanie. Jeśli coś jest ze mną nie w porządku, panie Farley, sprawdzę to po powrocie do komisariatu.

- Nic podobnego. Z takimi rzeczami nie można czekać. Umiem sobie świetnie poradzić w nagłych wypadkach.

- Nie wyolbrzymiałabym tak tej sytuacji - powiedziała drżącym głosem, robiąc jednocześnie krok do tyłu. - Zasadniczo czuję się dobrze.

- Nie jestem tego taki pewien, kochanie. Nie przekonamy się o tym, póki nie przeprowadzimy badania, prawda? - Zbliżył się do niej z poważnym wyrazem twarzy. - Teraz twoja kolej. Nalegam, poruczniku Fleming. Zdejmij koszulę.

Rozdział drugi

Andrei zaparło dech w piersi.

- Zwariowałeś, jesteś szalony. - Wycofała się na korytarz. - Nie dotykaj mnie. W komisariacie wiedzą, gdzie jestem.

Sam zaczął jej się przyglądać szeroko otwartymi oczami. Nie chciał przestraszyć tej dziewczyny. To był tylko żart. Musiał ją teraz uspokoić, zanim ona wezwie całą kawalerię na odsiecz.

Andrea trzymała pięści przed sobą w iście boksterskiej postawie.

- Jeśli nie wrócę na czas, wkrótce będziesz miał na karku całą okolicę. Louise Roberts wie, jak wyglądasz - ostrzegła.

- Spokojnie - rzucił oschle. - Opuść pięści, poruczniku. Za kogo mnie uważasz? Nigdzie się nie wybieram, przynajmniej na razie, zatem nikt nie będzie musiał mnie gonić. Przykro mi, że cię przestraszyłem. Wydaje mi się, że to krew z twojej głowy. Chcę tylko sprawdzić.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Zdała sobie sprawę z tego, że zachowuje się w jego towarzystwie jak kobieta, a nie jak policjant. Nie potrafiła jednak w tej chwili zapamiętać nad sytuacją. Uwodzona przez przystojnego ciemnokiego mężczyznę, doznawała zupełnie nowych wrażeń.

W końcu to on powiedział, że nie ma się czego obawiać. Po chwili Andrea zauważyła, że jego dotąd ściągnięte usta zaczynają łagodnieć.

- Czy już wszystko w porządku? - zapytał.

Tak, naprawdę martwił się o nią.

- Musiałaś rozciąć sobie głowę, gdy upadłaś. Potem otarłaś nią o moje ramię, kiedy my, kiedy ja... Kiedy uderzył piorun. - Wyciągnął rękę. - Podejdź do ognia, proszę, i pozwól mi obejrzeć.

Minęło kilkanaście sekund, zanim powoli zaczęła się rozluźniać i akceptować zaistniałą sytuację. Przede wszystkim musiała uważać na to, żeby nie ulec urokowi chwili. Sam Farley różnił się tak bardzo od mężczyzn z Arkadii. Był obcy, a jego zdecydowany sposób patrzenia na życie stanowił dla niej nowość.

- Dobrze, kowboju, zgadzam się, ale pod warunkiem, że powiesz, dlaczego się tu znalazłeś.

- Zgoda. Podejdź do światła i pozwól mi obejrzeć twoją głowę, a ja spełnię to, o co mnie prosisz.

Dołożył drewna do ognia, zdjął rupiecie, które przykrywały ukrytą w cieniu kanapę, i przysunął ją do kominka, zapraszając Andree, aby usiadła.

- Nazywam się Sam Farley. Przysięgam. Urodziłem się w Teksasie, dorastałem na Zachodzie. Moja matka lubiła ropę naftową i mężczyzn, którzy ją wydobywali.

- Ropa naftowa? Myślałam, że jesteś kowbojem.

- Tylko z urodzenia. Jestem cieślą. Buduję domy, robię meble. Jeśli można coś zrobić z drewna, ja to potrafię. Millie Hines była moją matką, Mamie Hines - babką. Nie mam braci ani sióstr. Jeśli moja matka nie miała gdzieś rodziny, a nigdy o niej nie wspomniała, to znaczy, że jestem zupełnie sam.

- Nie wyobrażam sobie, jak można być zupełnie samotnym na świecie... - powiedziała delikatnie Andrea,

podchodząc do kanapy. - Bez rodziny, bez przyjaciół. Ja przynajmniej mam Bucka.

Samowi podobał się jej sposób mówienia: powoli, łagodnym głosem, jak kobieta, która przed chwilą opuściła łóżko ukochanego. Wzruszył ramionami i odpowiedział tonem zgodnym z wyrażanymi myślami:

- Może, ale przynajmniej nic nikomu nie jestem winien. Nic mnie nie wiąże i zawsze mogę pójść tam, gdzie mam ochotę.

- To znaczy gdzie, Samie Farley?

- Mój dom był zawsze tam, gdzie znajdowałem pracę. Budowałem kwatery dla robotników pracujących przy rurociągu na Alasce, odbudowywałem szpitale po trzęsieniu ziemi w Meksyku, pomagałem wznosić centra handlowe w całym kraju, a nawet odnawiałem jeden z domów w Williamsburgu. Nie ma w tym kraju wielu miejsc, których bym nie widział. A ty? Dużo podróżowałaś?

Andrea była zauroczona. Patrzyła na niego z wypiekami na policzkach jak mała dziewczynka, słuchająca opowieści o Sindbadzie albo Kopciuszku. Płomienie pochłaniały nowe kawałki drewna i strzelały długimi pomarańczowymi językami w górę.

- Ja? Ja... tak naprawdę nigdzie jeszcze nie byłam. Mieszkam tu, w Arkadii, ponieważ takiego dokonałam wyboru.

W tych słowach było coś tak ostatecznego, że zanim się spostrzegł, jego ręka powędrowała do policzka dziewczyny. Dotknął jej włosów i czekał, aż zaakceptuje pieszczotę. Ponieważ nic nie powiedziała, rozsunął je delikatnie i rozpoczął badanie. Teraz drgnęła.

- Znalazłem. Rozcięcie nie jest duże. Już nawet przestało krwawić.

Andrea poczuła rumieniec na twarzy. Odsunęła głowę, aby uniknąć krępującego dotyku. Dziwne uczucia, które

niepokoili jej serce, przewycięzyła praktycznym pytaniem:

- A twój ojciec? Czy on również zajmował się budownictwem?

- Mój ojciec? Nigdy nie miałem ojca. Nie martwiło mnie to specjalnie, ale matka uważała, że miejscowym nie będzie się to podobało.

Ujrzała go teraz w odmiennym świetle. Ten uwodzicielski kowboj krył w sobie człowieka targanego przez emocje.

- Nie wiem, po co ci to wszystko opowiadam - stwierdził wyraźnie zagniewany, jak gdyby zdradził jej zbyt wiele. - Przypuszczam, że to pobyt w tym domu tak na mnie działa.

Andrea pomyślała, że brak ojca przygnębia go bardziej, niż mu się wydaje. Ostrożnie dobierając słowa, znalazła odpowiedź, której z pewnością oczekiwał:

- Uważam, że Mamie Hines bardzo by ucieszyło twoje przybycie.

- Moja matka powtarzała, że pewnego dnia tu powrócimy, a jednak tak się nie stało - powiedział, nadal wpatrując się w ogień. - Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego odeszła z Arkadii. Bardzo chciała powrócić, a jednak ciągle zwlekała. Potem zachorowała i już było za późno. - Kiedy spoglądał na płomienie roztańczone w kominku, jego twarz ponownie nabrała łagodnego wyrazu.

- Pani Mamie nie żyje już od dwóch lat. Dlaczego więc przybycie tutaj zajęło ci tak wiele czasu? Byłeś tak zajęty?

Odwrócił się, podszedł do okna i wyjrzał przez nie, jak gdyby ciągle przebywanie w jednym miejscu niepokoiło go.

- Na Alasce jest szczyt, z którego gwiazdy wydają się tak bliskie, że człowiek pragnie wyciągnąć po nie dłoń. Gdzieś indziej istnieją plaże tak piękne, że aż nierzeczywiste. Na zewnątrz czeka cały świat, a ja widziałem do-

piero jego niewielki wycinek. Nie było mi łatwo przerwać wędrówkę i przybyć tutaj.

- Wiesz o tym, że dom ma być wystawiony na licytację w związku z nie uregulowanymi opłatami podatkowymi? Nikomu nie udało się skontaktować z twoją matką.

- Tak, wiem. - Spojrzał na nią zatroskany. - Znalazłem dokumenty podatkowe wśród jej papierów, kiedy... - zawahał się i dopiero kiedy ponownie podszedł do ognia, dokończył: - Zaraz po tym, gdy umarła.

- Tak mi przykro. - Chciała podejść do niego i położyć mu dłoń na ramieniu. W końcu powiedziała tylko: - Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możesz zapłacić podatki i odebrać ziemię, jeśli będziesz chciał.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem, jak gdyby podobna myśl nie przeszła mu przez głowę.

- Ja miałbym to zrobić? Ja miałbym pozostać tutaj, na tym pustkowiu? - W jego głosie przebijał ton drwiny. - Kochanie, czy ja wyglądam na małomiasteczkowego chłopca?

- Nie. Przypuszczam, że nie. - Przecząco pokręciła głową.

- Zostało mi, co prawda, trochę pieniędzy, ale nie dość, aby spłacić długi, nawet jeśli chciałbym tu pozostać. W tej chwili pragnę jedynie... coś zjeść, napić się wina... - przerwał, oblewając się rumieńcem - w twoim towarzystwie, oczywiście, pod warunkiem, że nie masz zbyt kosztownych wymagań. Nie, nie zamierzam upominać się o ten dom, zostanę tylko tę jedną noc. Po prostu chciałem go zobaczyć.

- W moim towarzystwie. - Rozważyła w ciszy te kuszące słowa. Deszcz już prawie ustał. Coraz wyraźniej słyszeli swoje oddechy. Patrzyła na niego, gdy wkładał koszulę.

- Może byśmy pojechali po pizzę i piwo?

- Pizzę i piwo? Mielibyśmy jechać taki kawał drogi? -

Roześmiała się, chociaż czytała z wyrazu jego twarzy, że mówi poważnie.

- Czemu nie? Umieram z głodu. Gdzie się podziła twoja południowa gościnność, moja droga?

Znowu miała przed sobą kowboja szydzącego z całego świata i wszelkich zasad.

- Panie Farley...

- Proszę... nie wracaj do tego oficjalnego tonu.

- Zatem, Sam, jesteś w Arkadii, w stanie Georgia. Nie rozumiesz tego miejsca. Gdybym wybrała się z tobą na piwo, już jutro wszyscy by o tym mówili. A poza tym jestem na służbie i traktuję swoją pracę poważnie.

- Widzę, kochanie, że nie jest z tobą najlepiej. Przed wyjazdem będę musiał koniecznie nauczyć cię lepiej traktować życie. Mówiono mi, że jestem świetnym nauczycielem.

Nie rozumiał, dlaczego próbuje flirtować z Andrea. Nie była typem kobiety „na podryw”. Przeciwnie, miała w sobie coś, co zagrażało jego niezależności. Widząc, że nie zapaliła się do pomysłu wspólnej kolacji, spróbował inaczej:

- Z pewnością - zrobił smutną minę - będąc na służbie, nie powinnaś pozwolić człowiekowi umrzeć z głodu. Czy się mylę?

- Oczywiście, masz rację! - wykrzyknęła z entuzjazmem. - Przedstawiciel prawa powinien pomagać potrzebującym, a Flemingowie zawsze wykonują swoje obowiązki. - Przypomniała sobie o termosie z kawą i ciastkach, które miała zawieźć Buckowi, a które wciąż leżały na przednim siedzeniu w samochodzie. - Pokaż mi swoje dokumenty, a ja zorganizuję coś do jedzenia.

- Zgoda. - Zapiął ostatni guzik i uśmiechnął się. Stukając obcasami o drewnianą podłogę, przeszedł do holu i zniknął w ciemności. - Wezmę portfel, jest w plecaku.

Andrea spojrzała na zegarek zaniepokojona. Ów wnuk Mamie Hines był intrygującym mężczyzną. Najbardziej zafascynowała ją jego chęć życia, wewnętrzna energia.

Bez trudu wyobraziła go sobie stojącego na szczycie góry czy wpatrującego się w burzliwe morskie fale.

Dochodziła dziesiąta. Andrea przebywała już zbyt długo poza komisariatem. Jeśli Buck dzwonił, może się niepokoić. Lepiej będzie, jeżeli od razu znajdzie swój pistolet i czapkę i wróci do miasta. Skoro Sam Farley zamierza spędzić noc w tym zabitym deskami domu bez elektryczności, to tylko i wyłącznie jego sprawa.

Wyjęła z kominka płonąca gałąź i trzymając ją w górze jak pochodnię, rozglądała się dookoła. Westchnęła z ulgą, gdy znalazła wreszcie pistolet. Włożyła go do kabury i zapięła zatrzask.

- Mam pewien problem, pani porucznik. - Głos Sama dobiegł z holu.

- Co takiego? - Poczowała silny niepokój, jak gdyby z góry wiedziała, co usłyszy.

- Wygląda na to, że zapodziałem gdzieś swój portfel. Zarówno pieniądze, jak i dokumenty są w środku.

- Oczywiście. - Postanowiła natychmiast wyjść. Nie wiedziała, jaką grę prowadzi ten obcy, ale zdawała sobie sprawę, że musi zachować odpowiedni dystans.

- Nie kłamie. Uwierz mi. Mam portfel, tylko w tej chwili nie mogę go znaleźć. Chyba że... Zaraz. Tak, ten stary farmer, który mnie podwiózł.

- Pewnie któryś z tutejszych mieszkańców ukradł ci portfel? Do tego zmierzasz? - zapytała bez namysłu i po chwili tego żałowała. Niech dalej wymyśla swoją opowieść. Następnego dnia opowie ją Buckowi.

Położyłem plecak w ciężarówce. Droga była tak nierówna, że portfel mógł po prostu wypaść. Na pewno znasz tego człowieka. Zepsuł mu się traktor, więc pojechał po części zamienne. Nazywał się Otis... i coś tam dalej.

- Parker - dodała z ulgą. Otisowi zawsze coś się psuło.
- W porządku. Porozmawiamy jutro z Otisem i dowiemy się, czy wie coś o twoim portfelu. Na razie nie wniosę

oskarżenia o włamanie, ale jeśli jutro nie udowodnisz, kim jesteś, to lepiej jak najszybciej opuść to miejsce. - Zauważyła na podłodze swoją czapkę; podniosła ją i prześliznęła się do kuchni. - Dobranoc, Sam.

- Chwileczkę, pani porucznik. A kolacja? - Dogonił ją, gdy zbiegła już w dół alei.

Kolacja. Obiecała go nakarmić. Andrea odgarnęła z czoła mokry kosmyk i zorientowała się, że zostawiła swój płaszcz.

- Dobrze, kowboju, chodź ze mną.

- Dzięki. Deszcz przestaje padać - powiedział Sam. - Ale aleja zamieniła się w bagno. Nie uznajecie tutaj asfaltu?

Asfalt. O tak, pojawienie się Sama będzie niemałą niespodzianką dla Eda Pinyona. Już od jakiegoś czasu przymerzał się do kupienia posiadłości Mamie Hines. Potrzebuje miejsca na magazyn dla swojej firmy budowlanej. Wspominał nawet o wyłożeniu drogi żwirem, jeśli tylko uda mu się kupić tę ziemię za równowartość zaległych opłat podatkowych.

- Przeciwnie. Mamy tu bardzo dobrą firmę budowlaną - oznajmiła.

Ed Pinyon był jedynym zamożnym człowiekiem w Arkadii, dumą miasta, przyszłym przedstawicielem w rządzie stanowym. Ed Pinyon był człowiekiem, którego ojciec Andrei wymarzył sobie na jej męża.

Doszli do wozu policyjnego. Otworzyła drzwi w taki sposób, aby stanowiły między nimi barierę.

- Ale niektórym z nas podoba się miasto takie, jakie jest, staromodne i zacofane.

Wiatr zaczął rozpędzać chmury, odsłaniając srebrną kulę księżyca. Sam oparł się o szybę.

- I zabłocone. Co planujesz na kolację, szalona kobieto?

- Szalona? - Nieopatrznie spojrzała wprost w jego oczy, wpadając w pułapkę uwodzicielskiego wzroku. Wstrzymała oddech w nadziei, że nie usłyszał jej wes-

tchnienia. Sam dotknął jej twarzy, położył palec na ustach. Andrea nagle zdała sobie sprawę z tego, że zamierza ją pocałować.

- Nie - sprzeciwiła się szeptem.

- Za późno - powiedział, pokrywając jej policzek i usta delikatnymi pocałunkami.

- Nie! - Cofnęła się. - Jesteś obcy. Nie pozwolę, abyś przychodził tutaj i...

- I całował cię? - dokończył ledwie słyszalnym głosem. - Wiem, nie należysz do kobiet, które dałyby się porwać namiętności z kimś takim jak ja. Cudownie byłoby cię tego nauczyć.

Andrea wskoczyła do wozu i zatrzasnęła drzwi. Zaczęła się oddalać. W tylnym lusterku widziała jeszcze sylwetkę mężczyzny, kowboja z tatuażem na piersi i spojrzeniem, które przeszywało na wylot.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Przecież obiecała mu coś do jedzenia, a ciastka leżały nadal w samochodzie. Ostro zahamowała i zawróciła. Sam Farley wciąż stał w tym samym miejscu. Wyraz jego twarzy nie zdradzał szczególnego entuzjazmu. Otworzyła okno i podała mu termos i ciastka.

Nie odezwał się. Ona także.

Kiedy ponownie ruszyła, zdjęła czapkę, otworzyła wszystkie okna i czuła, jak ciepły nocny wiatr rozwiewa jej włosy; zupełnie jak na pokładzie statku-widma, błędzącego wśród dzikich odmętów. Lecz i tego było jej mało. Nacisnęła jeszcze mocniej pedał gazu. Tej nocy pragnęła upodobnić się do wiatru.

- Nie powinnaś była iść tam sama, Andy - skarcił ją ojciec, wsuwając się ostrożnie na tylne siedzenie wozu policyjnego.

- Buck, nie zrobiłam niczego głupiego. Dostałam wezwanie, więc na nie odpowiedziałam. To wszystko.

- Tak - zgodził się niechętnie. - Ale przypuśćmy, że znalazłabyś tam prawdziwego włamywacza, a nie kogoś podającego się za wnuka Mamie Hines? Pamiętam, że pięć lat temu zbiegły więzień w okręgu Hancock ograł kobietę...

- Buck, proszę. Nie ma jeszcze nawet ósmej rano. Dajmy temu spokój. Sam Farley ma nieco dziwny wygląd, ale poza tym jest w porządku. Nawiasem mówiąc, dałam mu ciastka, które Louise Roberts upiekła specjalnie dla ciebie.

- Och, ta kobieta, naprawdę nie powinna... - Nagle oprzytomniał. - Co? Moja córka oddała pyszne czekoladowe ciastka z orzechami jakiemuś obcemu?

Andrea z trudem próbowała zachować powagę.

Tak, ale podejrzewam, że dostaniesz ich jeszcze wiele. Buck, czy znałeś córkę Mamie Hines?

Wszyscy znaliśmy Millie. W wieku szesnastu lat była tu najpiękniejszą dziewczyną, oczkiem w głowie swojego ojca, aż spotkała tego mężczyznę z bazy wojskowej.

- Ojca Sama?

- Kto to wie? Mężczyzna, z którym uciekła, nie nazywał się Farley. Nie wiem, co się z nią potem stało. Jed Hines był twardym człowiekiem. Kiedy raz powiedział, że już nie ma córki, było to nieodwołalne. Nigdy więcej nie wspomniał jej imienia. Zawsze myślałem, że Mamie znajdzie jakiś sposób, by się z nią skontaktować.

Kiedy odwoziła Bucka do miasta, myślała o matce Sama i o tym, przez co ta kobieta musiała przejść. Ojciec, który wyrzekł się własnej córki. To straszne. Andrea rzadko o tym myślała, ale jej własna matka również uciekła z Arkadii, na dodatek pozostawiając tu dziecko. Buck twierdził, że nie czuła się dobrze w tak małej społeczności.

Andrea już dawno przestała się zastanawiać, dlaczego matka ich opuściła. Przez całe dzieciństwo obwiniała siebie i mieszkańców Arkadii o to, że nie potrafili pozyskać

jej uczuć. Później zrozumiała, iż obwinianie kogokolwiek nie ma sensu; podobnie jak obarczanie winą Dawida.

Dawid, policjant o czarnych oczach i zmysłowej twarzy, pojawił się w jej życiu, gdy skończyła dwadzieścia lat. Zakochała się w nim po uszy, nie wierząc, że mógłby ją kiedykolwiek opuścić. A jednak to zrobił. Jak jej matka poszedł za biciem innego dzwonu. Żadne z nich nie potrafiło zaadaptować się w małym południowym miasteczku. Prawdopodobnie jej matka, Dawid i Sam Farley mieli z sobą coś wspólnego. Sam również odejdzie, prędzej czy później.

Podrzuciła Bucka do „Arkadia Cafe”, gdzie zwykle jadł śniadanie z przyjaciółmi, i pojechała do gmachu miejskiego. Tego ranka, zanim jeszcze opuścili dom, rozdzwonił się telefon. Otis Parker doniósł, że podwiózł do miasta Sama Farleya. Nie wiedział nic o portfelu, ale obiecał, że sprawdzi i da znać Buckowi.

Kiedy dojechała już do biura, połączyła się z Agnes z lokalnej centrali telefonicznej.

- Jestem w komisariacie, Agnes, a Buck w kawiarni, gdyby ktoś nas potrzebował.

- A co z wnukiem Mamie? Czy rzeczywiście jest brudnym obdartusem o dzikim wyrazie twarzy?

- Nie, Agnes. Nie jest jakimś obdartusem-zaprzeczyła. - Ma około trzydziestki i wydaje się miły. Nie zamierza jednak tu zostać. Równie dobrze mógłby ogłosić wszem i wobec, że jest w Arkadii przejazdem. Chciał tylko zobaczyć dom swojej babki, zanim ten zostanie sprzedany.

- Przepraszam. To po prostu ciekawość.

Służba Agnes w departamencie policji była nieoficjalna, ale jeśli ktokolwiek potrzebował pomocy, ona lub któraś z jej sióstr zawsze chętnie służyła informacją. Firma telefoniczna należała do rodziny Varnerów od prawie pięćdziesięciu lat. Agnes obsługiwała telefony w ciągu

dnia, jej młodsza siostra w nocy, a starsza w weekendy. Jeśli ktokolwiek chciał wiedzieć, co się dzieje w mieście, kogo gdzie można znaleźć lub która jest godzina, wystarczyło podnieść słuchawkę.

Teraz Agnes obraziła się na nowego szefa policji i wkrótce wszyscy będą o tym wiedzieć. Andrea westchnęła. Pozostawanie w idealnych stosunkach ze wszystkimi obywatelami małomiasteczkowej społeczności było równie trudne jak chodzenie boso po rozżarzonych węglach. „Pewne rzeczy warto by zmienić w Arkadii” - pomyślała.

Robiła wszystko, aby osoba przybysza nie zaprzętała jej myśli. Nie przychodziło jej to łatwo. Był jak zakazany owoc w prywatnym raju. Szept węża kusiciela nie odstępował Andrei nawet na chwilę. Nagle do rzeczywistości przywołało ją głośne chrapanie Brada Dixona, jednego z miejskich rzemieślników, który zgodnie ze swoim zwyczajem spał w celi, lecząc kaca.

Buck jeszcze nie wrócił. Telefon dzwonił bez przerwy.

- Andy, o której godzinie jest próba chóru?
- Jak się ma Buck?

Po każdym z takich pytań rozmówca subtelnie nawiązywał do tajemniczej osoby Sama Farleya. Po ósmej rozmowie Andrea miała już zupełnie dość. Farley nie zasługiwał na tak wielkie zainteresowanie. To przecież zwykły mężczyzna, wędrowny cieśla, który zwiedził odległe miejsca i który... ją pocałował.

Nic dla niego nie znaczyła i nic nie znaczył ten pocałunek. Była po prostu kolejną dziewczyną spotkaną na drodze do miejsc, których jeszcze nie widział. Tak, był tutaj tylko przejazdem.

Andrea poderwała się na równe nogi i poszła do celi Brada Dixona. Już dawno minęła godzina, kiedy powinien był zjawić się w pracy i udawać, że zasługuje na pensję, którą wypłacało mu miasto.

- Brad! Brad, wstawaj! Masz dużo roboty. - Wyprowadziła na wpół zaspanego robotnika z celi i skierowała go do zakładu fryzjerskiego naprzeciwko, gdzie zwykle brał zimny prysznic i pił czarną kawę.

Spojrzała w kierunku kawiarni. Wyglądało na to, że tego ranka Buck zrobił sobie wolne. Postanowiła zatem sama zabrać się do załatwiania spraw. Nie sprawdziła jeszcze tożsamości Sama Farleya.

Wsiadła do wozu i ruszyła boczną uliczką, przy której znajdowała się poczta i stary warsztat tkacki. Jechała do domu Mamie Hines.

RS

Rozdział trzeci

W świetle dnia budynek nie wyglądał już tak przerażająco. Odpadająca farba i powykrzywiana weranda sprawiały, że po prostu wydawał się stary i wysłużony.

Wspinaczka w górę alei okazała się tym razem znacznie łatwiejsza. Andrea nie rozumiała, czego właściwie obawiała się poprzedniej nocy. Lubiła ten dom, a wizyta wnuka Mamie w niczym jej nie przeszkadzała.

Zapukała lekko. Nikt się jednak nie odezwał. Spróbowała więc pchnąć drzwi. Były zamknięte, a wyrwane deski zastąpiono nowymi.

- Halo! Sam? Panie Farley? Jesteś tam? - Przysłoniła oczy dłonią, popatrzyła przez szczeliny w deskach i ponownie zapukała.

- Czym mogę służyć pani porucznik w ten piękny poranek?

Jej oczy przyzwyczyły się po chwili do ciemnego wnętrza i zobaczyła Sama stojącego w samych dżinsach.

Opierał się o futrynę drzwi kuchennych i pił kawę z kubka należącego niewątpliwie do Louise Roberts.

- Zamknąłeś drzwi - powiedziała. - Czyżbyś się czegoś obawiał?

- Nie. Ukrywam się przed pochodem powitalnym. Pierwsza zjawiała się jakaś drobna kobieta, gdy jeszcze spałem. Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

Zesztywniała. Sam gniewał się. Nie wiedziała dokładnie, czego może się po nim spodziewać, ale na pewno nie oczekiwała gniewu. Gdzie się podział ten uwielbiający zabawę facet, który poprzedniej nocy marzył o pizzy i piwie? Nie rozumiała, co ją tak drażniło w tym człowieku. Może nie tylko ona poczuła, że coś między nimi zaszło. Przychodząc tutaj, spodziewała się kolejnych zalotnych żartów, kolejnych opowieści o jego przygodach, ale nie wrogości.

- Ludzie są po prostu ciekawi. - Przybrała jak najłagodniejszy ton głosu. - Nigdy nie mieszkałeś w małym miasteczku, prawda?

- Tylko raz - odparł ostro. - Następnym razem nie będę takim głupcem. Poza tym nie mam pojęcia, co twoje troskliwe miasto zrobiło mojej matce, i najprawdopodobniej nigdy się tego nie dowiem. Przejdźmy zatem do sedna sprawy.

Sam wiedział, że zachowywał się surowo wobec kogoś, kto zupełnie na to nie zasługiwał. Nie rozumiał zupełnie swojego postępowania. Najwyraźniej to noc spędzona w tym domu musiała tak na niego podziałać. Najpierw odkrył łóżko w pokoju frontowym, którego okna wychodziły na drogę. Wyczuwał, że pokój należał kiedyś do jego matki, i w związku z tym nasunęło mu się wiele dręczących pytań. Dlaczego uciekła z miasta, w którym ludzie wzajemnie się troszczyli o siebie? Dlaczego była tutaj taka nieszczęśliwa?

W końcu zrezygnował i przeszedł do salonu. Rozciągnął się na kanapie i marzył o niebieskich oczach Andrei i o tym, by kochać się z nią pod jabłonią na odległym polu.

Pożądanie było uczuciem, które potrafił zrozumieć. Ale ta mała wycieczka w przeszłość zaprowadziła go w złym kierunku, i nie bardzo potrafił to zmienić.

Ludzie tacy jak Andrea i Louise Roberts niepokoiili go. Nie miał im nic do zarzucenia, ale też nie ufał im. Dlacze-

go tak bardzo się wysilali, aby mu udowodnić, że nie są wobec niego objętni?

- Zrozum, Sam. Przykro mi. Obcy zawsze oskarżają nas o to, że jesteśmy dumni. Tu, w Arkadii, czujemy się za siebie odpowiedzialni. Przyjechałam, aby ci zaproponować podwiezienie do sklepu, jeśli nadal potrzebujesz żywności.

- A więc teraz chcesz ze mnie zrobić swojego sąsiada, tak? Dobrze. Wierzę, że masz dobre zamiary, ale zrozum, że jestem tutaj tylko przejazdem i sam potrafię zadbać o siebie.

- Okay - odparła, przywołując się do porządku. Sama nie rozumiała, po co właściwie zaoferowała mu swoją pomoc. Włóczęga taki jak Sam Farley nie był w stanie tego docenić. - Chciałabym jednak zadać ci kilka pytań natury formalnej. Czy nie mógłbyś łaskawie otworzyć drzwi? Tu, na zewnątrz jest straszny upał.

- Obawiam się, że nie - odparł chłodno. - Nie chcę zupy, ciastek, konfitur ani żadnego towarzystwa. - Popatrzył na pomarańczowy kubek, który trzymał w dłoni i usiadł. - Poza tym nie mam ochoty skończyć w więzieniu dzięki waszemu komitetowi obywatelskiemu.

- Komitetowi obywatelskiemu? Czy coś się tutaj wydarzyło, zanim przyszłam?

- Twoi przyjaciele dali mi do zrozumienia, że nie życzą sobie, abym wykorzystywał... - Spojrzał na sufit. - Jak oni to ujęli? Abym wykorzystywał słodką dziewczynę, która chwilowo przejęła obowiązki swojego taty. Już możesz odwołać swoją straż.

- Kogo masz na myśli? Kto to był? - Zdumienie Andrei rosło.

- Na przykład ten gość o kulach, który przed chwilą ciskał przekleństwa przez drzwi.

- Buck? Mój ojciec? Jak on się tutaj dostał?

- Przyszedł razem z Otisem, aby bronić twojego honoru i uświadomić mi, że nie wiedziałaś, co robisz.

Andrea czuła, jak narasta w niej gniew. A więc to dlatego Buck wziął wolne. Mogła się domyślić.

- Nie martw się, kowboju, zajmę się tym - obiecała, ocierając pot z czoła. - Przykro mi, że tak się stało. Czasami... ludzie tutaj są zbyt zapobiegliwi.

- Możesz im powiedzieć, że absolutnie nie mają powodu do zmartwienia. Nie zamierzam podrywać przyszłej żony burmistrza.

Andrea potrzebowała chwili na uspokojenie, zanim przemówiła:

- Przyszłej żony burmistrza? Słuchaj, przepraszam cię za ich zachowanie. Naprawdę to było nie na miejscu.

Sam powstrzymywał się od śmiechu. Inny był powód jego niepokoju. Nie ci dwaj mężczyźni, którzy przyszli go postraszyć, ale kobieta, piękna kobieta, stojąca przed nim w tej chwili.

Andrea Fleming nie wyglądała na przyszłą żonę burmistrza. Panowała nad sobą, ale gniew wciąż jej nie opuszczał. W błękitnych oczach dostrzec można było ogień. Duży biust falował w rytm przyspieszonego oddechu. Kruczoczarne gęste włosy wysunęły się ze spinki.

Sam powinien jej powiedzieć, że Otis zwrócił mu portfel z dokumentami, które dowodziły, iż był wnukiem Mamie Hines. Podejrzywał, że ten dobrze zbudowany, łysiejący mężczyzna o kulach, który przedstawił się jako ojciec Andrei, nie omieszkał już wcześniej przejrzeć dokumentów, skoro pytał tylko o jego zamiary.

Sam nie chciał doprowadzić do konfliktu, więc wyszedł na zewnątrz i spokojnie wytłumaczył mężczyznom, że wczoraj Andrea po prostu upewniała się, czy wszystko u niego w porządku. Przyznał, że powinien zameldować się w komisariacie zaraz po przybyciu, ale strasznie pada-

ło, a poza tym był wyczerpany podróżą. Dodał też, że przeprasza za wszystkie kłopoty.

W końcu ów mężczyzna spojrzał na niego, mrużąc oczy, i oznajmił:

- W porządku, Samie Farleyu. Jesteś wnukiem Mamie, więc na razie damy ci spokój. Ale uważaj na to, co robisz, bo inaczej skończysz w więzieniu.

Buck Fleming nie mógł wiedzieć, w jaki sposób ta groźba działała na wyobraźnię Sama. Więzienie? Już raz przez to przeszedł. Teraz jednak wypełniało go jedynie pragnienie trzymania Andrei Fleming w ramionach.

Zdecydował, że odejdzie, ale chwila odjazdu jakoś dziwnie się odwlekała. Teraz, kiedy Andrea stała w drzwiach jego domu, musiał przyznać, że zwłokę spowodowała nadzieja na ponowne spotkanie z dziewczyną:

Sam czuł, że gdyby ją pocałował, zaaresztowałaby go, a potem przepraszała w swój szczególny, kokieteryjny sposób przez całą drogę do komisariatu.

Lubił słuchać, gdy mówiła. Miodowa barwa jej głosu przypominała mu słońce i pola kukurydzy. Kiedyś już słyszał podobny głos, głos, który malował przed jego oczami kojący obraz białego domu w mieście, gdzie każdy wart był poznania. Podświadomie Sam szukał tego głosu. Teraz, kiedy wreszcie znalazł, własne uczucia przerażały go. Niezdarnie otworzył drzwi.

- Wejdz. Nigdy jeszcze nie rozmawiałem z przyszłą żoną burmistrza.

Przyszła żona burmistrza! Buck! Będzie musiała o tym porozmawiać ze swoim ojcem. Andrea czuła się nieswojo. Nie podobało jej się to. W Arkadii każdy czuł się w domu sąsiada jak w swoim własnym.

Najpierw chciała powiedzieć Samowi, że nie jest z nikim zaręczona. Ed Pinyon został wybrany przez jej ojca. Mimo to powstrzymała się. Bądź co bądź to są jej osobiste sprawy i takimi powinny pozostać. Z Samem łączyło

ją tylko zadanie służbowe, które musiała wypełnić, nic poza tym.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że przygląda mu się już przez dłuższą chwilę. Jego wysoko uniesione brwi wskazywały, iż odgadł jej zamieszanie. Zaczerwieniła się. A zatem znowu stał się realnym zagrożeniem. Z uśmiechem czekał na decyzję Andrei.

- No dobrze. Skoro nie potrzebujesz mojej pomocy, to już pójdę, ale i tak będę musiała zobaczyć twoje dokumenty prędzej czy później.

Wypróbowywał ją. Nagle jednak poczuł, że pragnie lepiej poznać tę kobietę. Nie chciał, by odchodziła.

- Poczekaj, w jednej sprawie mogłabyś mi pomóc - stwierdził spokojnie. - Moja babka radziła sobie jakoś bez prysznic i w domu nie ma ani kropli wody. Chciałbym się wykapać, ale nie bardzo widzę jakąkolwiek możliwość. Czy jesteś w stanie znaleźć rozwiązanie?

Rozważyła w myślach swoją odpowiedź. Mogłaby mu powiedzieć o źródleku znajdującym się na szczycie wzgórza, między drzewami. „Jed przygotował je dla Millie” - powiedziała Mamie; był to chyba jedyny raz, kiedy wspomniała o swojej córce. Ale Andrea nie chciała zdradzać mu tego miejsca, przynajmniej na razie. Udzieliła więc następującej odpowiedzi:

- Jeśli dobrze poszukasz, powinieneś znaleźć w stodołę dużą balię. Napelnij ją wodą ze studni.

- Dużą balię? - Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Ale dzisiaj jest piątek, a zawsze myślałam, że kowboje myją się tylko raz w tygodniu, i do tego w sobotę.

- Ale ja nie jestem kowbojem, zapomniałaś? - Przestał się uśmiechać. Podniósł ze stołu dużą kopertę z dokumentami i podał ją Andrei. - Tylko nie zapomnij oddać, gdy skończysz.

Spojrzała na dokumenty i na szorstką dłoń mężczyzny.

Dotykał jej ręki i Andrea poczuła, że jej puls nagle przyspieszył.

- Znalazłeś je?- Cofnęła dłoń.

- Nie ja, Otis. Leżały w ciężarówce. - Był teraz tak blisko niej; czuł, że napięcie między nimi rośnie.

„Och, nie - powiedział do siebie. - Nie rozpalaj mnie znowu". Wiele go kosztowało, aby się opanować. Jedyne, czego w tej chwili pragnął, to wciągnąć ją do środka i porwać w ramiona.

Zachmurzył się. Ten brak opanowania był u niego czymś nowym. Wziął głęboki oddech, niespokojnie podniósł jej dłoń i zdobył się na uśmiech.

- Nie chciałabyś zostać i umyć mi pleców, kochanie? Nie byłaby to dobra przysługa sąsiadka?

- Ale ty nie chcesz być sąsiadem, Samie Farleyu. Radzę ci zamknąć drzwi od werandy, jeśli zamierzasz się tutaj kapać. Niewykluczone, że sąsiedzi będą cię odwiedzać tak długo, póki nie zostaniesz ich przyjacielem. - Podniosła kopertę. - Dokumenty oddam ci zaraz po sprawdzeniu.

- Jak sobie życzysz, szefie. Ty tu rządzisz.

Tym razem nie odpowiedziała. Po prostu obróciła się na pięcie i pobiegła w dół zarośniętą aleją.

Sam patrzył na nią, obserwując kołysanie jej bioder. „Prawdziwa kobieta-matka" - pomyślał, przypominając sobie jej jędrną pierś, której dotknął wczoraj. Andrea stanowiła ogromne wyzwanie. Sam lubił ryzyko, a poza tym nigdy nie kochał się z policjantką. Mimo to przeżywał rozterkę. Nie chciał się zbyt angażować. Nie miał do czynienia z kobietą „na podryw", ale z kobietą typu „póki śmierć nas nie rozłączy". Przez nią mógł wylądować w więzieniu.

Zaklął, zastanawiając się, co robi w tym domu zabitym deskami, bez prądu i bez jedzenia.

Przeszedł na drugą stronę domu i przez okno obserwo-

wał odjeżdżającą dziewczynę. Powinien jej podziękować za zainteresowanie, które wobec niego przejawiała, ale bał się, że jego miłe zachowanie może być błędem. Nie mógł pozwolić sobie na to, aby odgadła, jak bardzo zapanaowała nad jego uczuciami, nad jego myślami.

Zauważył śliwę obwieszoną dużymi złotawymi owocami. Uśmiechnął się. Lubił patrzeć dookoła i nie natrafiać wzrokiem na żadne zabudowania; lubił odosobnienie. Pragnął wierzyć, że ludzie tutaj rzeczywiście sobie ufają, że nie potrzebują zamykać drzwi na klucz.

Włożył ręce do kieszeni i rozejrzał się po pokoju. Ten dom był podobny do niego, tak samo opuszczony i zrujnowany. „A może - pomyślał - nie zaszkodziłoby przed odejściem doprowadzić dom babki do porządku”. Może mógłby uprzętnąć aleję przed przyjściem Andrei i przeszukać strych i stodołę.

Kto wie? Być może udałoby mu się odnaleźć huśtawkę i umocować ją na werandzie.

Buck siedział z nogą opartą o biurko i dopijał resztkę kawy.

- Gdzie byłaś, Andy? Już prawie dziesiąta.

- To raczej ty mi powiedz, gdzie byłaś.

- A gdzie niby miałbym być?

- A jak myślisz? Może pomoże ci fakt, że masz przed sobą okruchy czekoladowego ciastka. Poza tym byłam w domu Mamie Hines, aby sprawdzić dokumenty Sama Farleya. Powiedział mi, że złożyliście mu z Otisem wizytę. Jak mogłeś pójść tam i grozić mu, jakbym sama nie umiała o siebie zadbać!

- Nie sprawdzałem cię, Andy. - Zmieszał się, napotykając jej wymowne spojrzenie. - No dobrze, przyznaję się - stwierdził. - Ale robiłem to ze względu na ciebie. Słyszałem, jak zeszłej nocy przewracałaś się niespokojnie na

łóżku, nie mogąc zasnąć. Ostatnio często ci się to zdarza. Louise uważa... To znaczy, martwiłem się o ciebie.

- Rozmawiałeś o mnie z Louise Roberts? To cudownie! - Uderzyła otwartą dłonią w biurko i natychmiast się odwróciła, próbując opanować nerwy. A dlaczego Buck nie miałby o niej rozmawiać? Dlaczego właściwie się gniewała?

- Przepraszam cię, Andy. Po prostu czasami myślę, że nie potrafiłem zapewnić ci dobrego wychowania. Kobieta zrozumiałaby pewne sprawy... lepiej.

- Radziłeś sobie dobrze, Buck. Oboje dobrze sobie razem radziliśmy. Nie chciałam cię martwić. Uważałam, że moim obowiązkiem jest pójść i sprawdzić dokumenty Sama Farleya, gdy ty zniknąłeś.

- Nie zniknąłem. Miałem spotkanie z Otisem i prawnikiem Mamie, niejakim Stuartem Traylorem.

Urażony ton Bucka nie uspokoił Andrei nawet na chwilę; nawet kiedy dodał z dumą w głosie, że zapis woli Mamie dotyczący jej domu znajduje się w urzędzie w Cottonboro. Buck wkrótce miał otrzymać kopię dokumentu od sędziego Thomasa.

Testament Mamie. Nie pomyślała o tym. Mało tego, myślała tylko i wyłącznie o pewnym mężczyźnie z wytatuowanym na piersi sercem, który użalał się nad losem własnej matki.

- Przypuszczam, że miałeś rację - przyznała. - Ale w przyszłości pozwól mi samej dbać o siebie.

Zauważyła, że ojca zdumiało jej zachowanie. Kiedy zadzwonił telefon, na który odpowiedział z rzadko u niego spotykaną irytacją, dostrzegła też, że i on musiał radzić sobie ze stale powiększającym się gronem zainteresowanych wiadomą osobą.

- W porządku, Andy - zgodził się, odkładając słuchawkę. - Nie chciałbym tylko, aby cię zranił. Sam może być zupełnie porządnym facetem. Przyznam, że w jego wieku

byłem podobny. Ale mężczyzna taki jak Ed Pinyon, mężczyzna stąd, bardziej pasowałby do ciebie.

- Buck, mam już dwadzieścia sześć lat. Jestem dorosłą kobietą, a nie nastolatką, która wymaga ciągłej opieki. Nie wyjdę za Eda Pinyona. Wybiorę mężczyznę, którego pokocham.

- Ale nie tego mężczyznę, Andy. On nie jest jednym z nas. - Jego spojrzenie mówiło, że myśli o swej żonie. - Wiem, że już nie jesteś dzieckiem. Po prostu wpadam w nawyk i postępuję jak bojaźliwy ojciec - oskarżam za wczasu. Problem polega na tym, że znamy Eda, a Sama nie, nawet jeśli na swój sposób jest częścią tego miejsca. Proszę tylko o jedno: bądź ostrożna.

Westchnęła i pochyliła się, aby pocałować jego łysiejącą głowę.

- Och, tatusiu, ja również przesadzam. Przecież on jest tutaj tylko przejazdem. Rozumiem twoje obawy. Wkrótce odejdzie, ty wyzdrowiejesz i życie znowu zacznie biec swoim zwykłym torem. - „Ale będziesz musiał znaleźć jakiś inny powód mojego wiercenia się w łóżku, ponieważ ja nie znalazłam” - dodała w myślach.

- Tak, masz rację. To ojciec, a nie policjant poszedł do domu Mamie. Sam Farley pochodzi z dobrej rodziny i powinienem dać mu szansę. Jednak wciąż jest nam potrzebny testament Mamie.

- Dobrze, tu są jego papiery. Przejrzyj je, a ja pojedę do urzędu prawnego i odbiorę kopię.

Nie powiedziała Buckowi, że zamierza wysłać do centrali policji stanowej prośbę o sprawdzenie wszelkich informacji dotyczących nowego przybysza. Nie wątpiła w to, co Sam Farley jej o sobie opowiedział. Chciała tylko znać opinię innych ludzi.

Andrea jechała powoli główną ulicą. Pomachała pani Bryan, która właśnie nadzorowała swojego ogrodnika przy pracy, minęła białą dwupiętrową rezydencję burmi-

strza i na chwilę musiała przystanąć przed ciężarówką, która skręcała do nowego bloku, budowanego na przedmieściach Arkadii. Jej miasto rozrastało się, lecz Andrea miała w związku z wprowadzanymi zmianami mieszane uczucia.

Jechała starą autostradą do Cottonboro, tą samą, którą Sam Farley przybył do Arkadii. Wszystko wokół było zielone i świeże; krople rosy pokrywające liście kukurydzy lśniły w słońcu. Do kalendarzowego początku lata pozostał jeszcze ponad miesiąc, ale wiosna w tym roku zaczęła się wcześniej niż zwykle i pola pszenicy już dojrzewały. Za kilka tygodni zboże zostanie skoszone i powiązane w wysokie snopy, przypominające biskoptowe babki.

Była w tym jakaś ciągłość, na której Andrea mogła polegać. Być może ciągłość tradycji. Nie rozumiała, jak można „wpaść” do takiego miejsca i zaraz zniknąć. Chodziła do tych samych szkół co jej ojciec, i jej dzieci również pójdą ich śladem. Tradycja była ważna, ponieważ stanowiła punkt wyjścia dla nowych pokoleń. A nawet więcej, sprawiała, że Andrea nie martwiła się o przyszłość.

Kiedy znalazła się cztery kilometry za miastem, zobaczyła mężczyznę idącego wzdłuż szosy. Natychmiast go poznała po prostej, smukłej sylwetce i charakterystycznych butach. Sam Farley. Z wyciągniętym na wszelki wypadek kciukiem, ogolony, w poplamionej potem kurtce włókł się leniwie autostradą. „Pewnie odchodzi” - pomyślała w pierwszej chwili, ale zaraz zdała sobie sprawę z tego, że nie miał przy sobie plecaka. Zatrzymała wóz.

- Podziwia pan krajobraz, panie Farley?

Miał dziwny wyraz twarzy. Pomyślała, że nie jest specjalnie uradowany jej widokiem, ale jego słowa sugerowały coś przeciwnego.

- Cieszę się, że znowu panią widzę, pani porucznik.
Podwieziesz mnie?

Żartobliwy, uwodzicielski ton wywołał u niej dreszcze. Starła się wyglądać na zupełnie swobodną i rozluźnioną.

- Oczywiście, ale jeśli chcesz opuścić stan, to obrałeś zły kierunek.

- Wybieram się do głównej siedziby władz okręgu. -
Włożył kapelusz, otworzył drzwi i wśliznął się do środka.

- Och? Dlaczego?

- Doszedłem do wniosku, że jestem winien matce przynajmniej to, aby pójść i porozmawiać z poborcą podatkowym o mojej... O posiadłości.

- O twojej posiadłości? Po co?

- Pomyślałem sobie, że mógłbym doprowadzić dom do jako takiego porządku, póki tu jestem. Kto wie? Może znalazłbym w tej okolicy jakąś pracę i został jeszcze jakiś czas. A nawet jeśli nie, to przynajmniej dom nie będzie wyglądał na taki opuszczony. Czy masz coś przeciwko temu? - zachmurzył się.

- Masz zamiar szukać pracy? Tutaj?

- No cóż, nie dokładnie w tym miejscu na szosie. -
Obejrzał się przez ramię. - Ci ludzie za tobą mogą się niecierpliwić. Nie uważasz, że powinnaś ruszyć?

Spojrzała w tylne lusterko i zobaczyła stojące za nią dwa samochody. Nacisnęła pedał gazu i wóz gwałtownie skoczył do przodu.

- Cholera! Zobacz, co przez ciebie zrobiłam. - Nabrała dużej prędkości i skręciła w polną drogę, wzbijając tumany kurzu.

- Czy to jakiś skrót, pani porucznik?

- Skrót?

Zwolniła. Pragnęła jedynie uciec jak najdalej od świadków tego, co się zdarzyło. Zatrzymała wóz pod starym dębem, rosnącym przy brzegu dużego rwącego strumienia.

- Przyznaj, że to ładne miejsce. - Spojrzał na strumień

i na pustkowiu wokół niego, potem znów na Andreeę. -
Czy ludzie przychodzą tutaj na ryby?

- Głównie nastolatki przychodzą tutaj, aby... - przerwała i dokończyła inaczej: - Po prostu podoba im się tutaj. Nie ma zbyt wielu spokojnych i odosobnionych miejsc w Arkadii. - „Dlaczego nie odpowiedziałam »tak«?” - spytała samą siebie w myślach. Była pewna, że podobało mu się jej zakłopotanie.

- Rozumiem. Często tu przychodzisz?

- Raczej nie. - Wrzuciła wsteczny bieg i zaczęła wycofywać wóz.

- Poczekaj, kochanie. - Dotknął delikatnie jej dłoni. - Przepraszam. Nie chciałem ci dokuczyć. Nie moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? Potrzebuję twojej rady.

Tak naprawdę potrzebował tylko zimnego prysznicu i pstryczka w nos. Był obcy w Arkadii i żadne naiwne uczucia typu tęsknota za prawdziwym domem nie mogły tego zmienić, nawet jeśli postanowił w końcu spróbować. Rozmowa z poborcą podatkowym musiała się dla niego skończyć rozczerowaniem.

Andrea ponownie zatrzymała wóz, widząc emocje, które rysowały się na jego twarzy. Co miała powiedzieć temu włóczędze, który zwiedził już pół świata? Czy to, że był niebezpieczny? Czy to, że w jego obecności traciła oddech? Czy wreszcie, że chciała dokładnie obejrzeć jego tatuaż w kształcie serca; że chciała się cofnąć o dziesięć lat i być jedną z nastolatek, które parkowały pod tym starym dębem? Wówczas nie skorzystała z przywileju młodości, a teraz było już za późno.

- Porozmawiać?

Porozmawiałyby z nim chętnie, ale gdyby byli młodsi, na przykład na korytarzu szkolnym podczas przerwy.

Ostre letnie słońce raziło w oczy. Dobrze, że nie pozwoliła, aby rozmowa nabrała zbyt bezpośredniego cha-

rakteru. Z trudem pozbierała myśli i zdołała się w końcu uspokoić.

- W porządku, Samie, co mogę dla ciebie zrobić?

Chciał powiedzieć: „Możesz zdjąć kapelusz i rozpuścić włosy, tak jak poprzedniej nocy. Możesz otworzyć drzwi i pójść ze mną na spacer wzdłuż strumienia. Możemy trzymać się za ręce i udawać, że jesteśmy parą nastolatków, którzy przyszedli tu w poszukiwaniu samotności, pocałunków i pieszczot”.

Mimo że coś w jej oczach zdradzało, iż jest świadoma napięcia, które się między nimi wytworzyło, wołał zostać na później pocałunki i pieszczoty. Domyślał się, co mogłoby z tego wyniknąć. Nie zamierzał skończyć ani jako więzień, ani jako małżonek.

- Czy ktoś inny również ma zamiar zapłacić podatki i zdobyć farmę?

Pomyślała o planach Eda Pinyona, ale nie chciała psuć Samowi nastroju. I tak wkrótce odejdzie, lepiej więc, aby prawda nie mąciła wyidealizowanego w jego pamięci obrazu domu babki.

- Być może, ale wątpię, aby ktokolwiek chciał tu mieszkać. Ludzie wolą nowe domy, podobne do tych, które obecnie buduje się w mieście. Nie doceniają dawnego stylu.

- Och, przecież to skarb. Ten dom jest jak staruszek, który wymaga tylko odrobiny troskliwości.

Była zaskoczona entuzjazmem w jego głosie. Ten człowiek miał w sobie coś więcej niż zdolność budzenia w niej wewnętrznego niepokoju.

- Naprawdę lubisz stare domy?

- Jestem cieślą, zapomniałaś? Mając do dyspozycji odpowiednie narzędzia i trochę czasu, mógłbym zmienić dom babki nie do poznania.

W jego słowach wyczuwało się dumę i pewność siebie, połączone z zapałem, którego nie potrafił ukryć. Andrea

nie spodziewała się, że dom tak go zachwyci. Zatem zamierza na razie zostać w Arkadii. Jeśli rzeczywiście chciał jechać do urzędu, trzeba było niezwłocznie ruszać w dalszą drogę. Zwolniła ręczny hamulec i wyprowadziła wóz z powrotem na starą autostradę.,

- Powiedz, czy ludzie kiedykolwiek się kąpią w tym strumieniu? - zapytał, wycierając pot z czoła.

- Oczywiście. Poniżej znajduje się jezioro i park, gdzie mieszkańcy Arkadii obchodzą wspólnie różne święta. Jednym z ważniejszych jest Święto Założenia Miasta.

- Święto Założenia Miasta? Naprawdę? Opowiedz mi o tym.

- Arkadia została założona w roku tysiąc osiemsetnym przez posiadaczy wielkich plantacji bawełny. Było to swego czasu szczęśliwe, kwitnące miasteczko. Potem przysła wojna domowa i plantatorzy utracili wszystko. Teraz mieszka tu około dziewięćset trzydziestu mieszkańców i mniej więcej tyle samo na przedmieściach.

- A ty mieszkasz na farmie?

- Już nie. Posiadamy duży obszar ziemi, ale ojciec wydzierżawiają. - Buck uprawiałby tę ziemię, mogła dodać Andrea, gdyby nie powrócił z Wietnamu z metalowym odłamkiem w czaszce, co uniemożliwiało mu pracę fizyczną. - Był czas, kiedy wszyscy zajmowali się uprawą ziemi - kontynuowała. - Zanim wysoka stopa procentowa oraz susza nie sprawiły, że absolutnie przestało się to opłacać. Mamy dwie fabryki, ale wielu mieszkańców opuszcza miasto. To takie smutne.

- Wszędzie się tak dzieje - stwierdził Sam. - W Teksasie było podobnie z przemysłem naftowym, w Pittsburgu z przemysłem metalowym, a w Kalifornii nawet produkcja komputerów przestała przynosić takie zyski jak kiedyś. Cieszę się, że pracuję własnymi rękami. Zawsze mogę pojechać gdzieś indziej, jeśli miasto, w którym byłem dotychczas, przeżywa kryzys.

Spojrzała ukradkiem na jego spracowane dłonie. Nie podobała jej się sytuacja w miasteczku. Jedyne firma budowlana Eda Pinyona rozwijała się, cała reszta podupadła. Nie rozumiała dlaczego.

Sam zmarszczył nos i przymrużył oczy.

- Bawełniany pył. Wszędzie rozpoznałbym ten zapach.

- To zapach Południa, panie włóczęgo. Pracowałeś kiedyś na farmie?

Woń bawełnianego pyłu prześliznęła się przez otwarte okno i otuliła Andree jak ulubiony szal. To był jej świat, wieczny świat, któremu mogła zaufać, który był dokładnie taki, jak wyglądał. Tego dnia świeży i zielony.

- Nigdy z wyboru. Powiedzmy, że przez ostatnich kilka lat starałem się unikać społeczności farmerów.

- Dlaczego, Sam? Czy farmerzy niczego nie budują?

- Owszem, budują... płoty z drutu. Ja lubię być wysoko ponad ziemią albo sam na odludziu. Jestem wędrowcem, zapomniałaś?

Czy zapomniała? Jak mogłaby zapomnieć?

Rozdział czwarty

Dojechali do przedmieść Cottonboro, gdzie dwupasmowa autostrada zwięzła się w Court Street. Court Street prowadziła prosto do Urzędu Prawnego, który mieścił się w dużym budynku z czerwonej cegły z zepsutym zegarem na frontowej ścianie. Andrea zaparkowała.

- Jesteśmy na miejscu, panie Farley. Oto główny Urząd okręgu Meredith. Biuro podatkowe znajduje się na drugim piętrze. Spotkamy się przy samochodzie.

Wysiadła i po chwili zniknęła w budynku, zadowolona, że Sam nie chciał jej towarzyszyć. Jego obecność byłaby niewskazana, chciała przecież uzyskać o nim jakieś informacje. Pchnęła drzwi do biura sędziego. „Być może udałoby mi się czegoś dowiedzieć od Madge” - pomyślała. Madge była sekretarką sędziego i jednocześnie wieloletnią przyjaciółką Andrei.

- Dzień dobry, Madge.

- Andrea! Wyglądasz świetnie w tym mundurze! Wyzwolenie kobiet w okręgu Meredith. Nie musisz mi mówić, dlaczego Rada Miejska Arkadii dała ci tę pracę. Poza tym i tak wykonujesz już prawie wszystkie zawody.

- Czy sędzia jest u siebie?

- Nie, musiał wyjść razem z szeryfem. Otrzymaliśmy informację dotyczącą skradzionej przyczepy traktorowej. Przystępczość zaczyna kwitnąć w okręgu Meredith. Ale

mam dla ciebie kopię testamentu Mamie. Przekazuje w nim wszystko swojej córce. Nie wspomina nawet słowem o nikim więcej. Wiesz, tak naprawdę nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się stało z Millie.

- Czy ktoś w ogóle próbował?

- Oczywiście. Zaraz po śmierci Mamie i potem, kiedy nadszedł czas zapłacenia podatków. Znalezione w rzeczach Mamie adres jakiegoś przytułku. Nigdy jednak nie odpowiedziała na nasz list. Za dwa miesiące dom zostanie sprzedany, jeśli nikt się o niego nie upomni.

„Może jednak ktoś się upomni” - pomyślała Andrea i powiedziała głośno:

- Nigdy nie wiadomo, Madge. Może ktoś się upomni.

- Dobrze wiem, kogo masz na myśli. Jak on wygląda, Andy? Czy rzeczywiście jest wnukiem Mamie?

- Kto?

- Ten autostopowicz, którego podwiózł Otis. A niby o kim miałabym mówić?

- O rety, jak się dowiedziałas?

- Wiesz, ma się swoje sposoby. Ktoś po prostu przypadkiem podsłuchał rozmowę Louise Roberts z żoną Otisa. Czy on rzeczywiście ma długie włosy i kolczyk w uchu? Jak właściwie wygląda?

- Jest wysoki, nieco przygarbiony i czarujący, taki wolny ptak. Poza tym niewiele o nim wiem, Madge. - Andrea pokręciła głową. - Widziałam go tylko po ciemku wczorajszej nocy i dzisiaj... zaledwie przez kilka minut.

- Po ciemku zeszłej nocy? No, coraz lepiej. Powiedz coś jeszcze. Co on tu robi? Czy jest żonaty?

- Poza tym że przybył tutaj, aby odwiedzić dom babki, nic nie wiem. Powiedział, że jest tylko przejazdem.

- Być może jednak myśli o pozostaniu tutaj. Jak uważasz?

- Uważa, że powinienem zostać - powiedział Sam

z uśmiechem na twarzy, wchodząc do biura i obejmując Andreeę. - Gotowa do drogi?

Andrea spojrzała na niego z wyrzutem.

- Przestań, Farley. Nie jestem twoim osobistym, szoferem. Podwiozłam cię tylko. - Wiedziała, że przesadza, ale nie mogła się od tego powstrzymać. -I weź te ręce!

- Przepraszam, poruczniku Fleming. Dokończ sprawę, którą masz tutaj do załatwienia, a ja poczekam w wozie. - Elegancko uchylił kapelusza przed sekretarkami, które stały na korytarzu, uśmiechnął się do Madge i opuścił biuro, wesoło pogwizdując.

- Ojej! Czy to był on? - spytała Madge. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że to ktoś pomiędzy Clintem Eastwoodem a Kenem Walem? Teraz naprawdę chciałabym wiedzieć, co miałaś na myśli, mówiąc, że spotkałaś go w ciemności.

- Madge, posłuchaj. Zeszłej nocy dostałam raport o włamaniu do domu Mamie. To był Sam Farley. Dzisiaj go podwiozłam. To wszystko. Proszę, nie rozsiewaj żadnych plotek.

- Ja? Kiedy połowa kobiet w okolicy ma go już na językach i kiedy wiem, że jesteś z nim związana? Nigdy! Dokąd teraz jedziesz?

- Z powrotem do pracy. Zapomnij o Samie Farleyu, Madge.

- Dobrze, jeśli chcesz go mieć wyłącznie dla siebie. - Odwróciła się i zajęła swoją pracą. - Szkoda, że władza należy do wybrańców.

- Madge, zachowujesz się jak piętnastoletnia dziewczyna, targana namiętnościami.

- Mam nadzieję. Skoro mówimy już o namiętnościach, myślę, że nie zapomnisz zjawić się z Edem na śródowym spotkaniu w kościele.

Andrea rozgniewała się.

- Madge - powiedziała powoli - nie powinnaś przypuszczać, że będę w kościele z Edem. Nie jesteśmy zaręczeni.

ni, mimo że tak sądzi większość mieszkańców okręgu. Jesteśmy tylko... przyjaciółmi.

- No cóż, nie mogę cię winić. Sama też wolałabym obcego. Dobrze, już dobrze, Andy. - Madge zasłoniła się rękami w żartobliwym geście obrony, gdy Andrea zrobiła krok w kierunku jej biurka. - Przepraszam, myślałam tylko... To znaczy... byliście przyjaciółmi przez prawie dwa lata, a Ed mówi o was jak... Cóż, uważam, że powinnaś z nim o tym porozmawiać. Wydaje mi się, że on ma nieco odmienne wyobrażenie o waszym związku.

Andrea wiedziała, że Madge ma rację. Z nudów tolerowała obecność Eda przy swoim boku. Pozwoliła, aby sprawy biegły własnym torem, i to był błąd, który musiała teraz naprawić. Poza tym była bliska popełnienia kolejnego błędu w związku z tym obcym mężczyzną.

Na korytarzu wpadła na Joego Willisa, poborcę podatkowego.

- Rozmawiałeś przed chwilą z wnukiem Mamie?

- Powiedziałem mu, że termin zapłacenia podatków minął. Nie sędzę, aby istniała możliwość jego przedłużenia, więc jedyne, co mu pozostało, jeśli chce zapobiec licytacji, to zapłacić całą sumę, plus opłaty karne, przed końcem lipca.

Tak to wygląda. Wątpiła, aby Samowi udało się zdobyć całą sumę przed dniem aukcji, nawet gdyby tego naprawdę chciał. Wychodząc z budynku, uderzała lekko o nogę kopertą zawierającą kopię testamentu Mamie; myślała o przyszłości. Wsiadła do wozu i zapięła pasy.

Sam siedział z głową opartą o fotel. Kapelusz zasłaniał mu twarz, więc wydawało się, że śpi. Chciała zapytać, jak się czuje po rozmowie z poborcą podatkowym, ale... Mógłby spostrzec, że ją to interesuje. Sam i tak uważał, iż mieszkańcy małych miasteczek zbyt często wtykają nos w nie swoje sprawy.

Żar poranka otaczał samochód. Tego dnia nic się nie

poruszało w okręgu Meredith, z wyjątkiem słuchawek telefonicznych ściskanych namiętnie przez ludzi plotkujących na temat jej i Sama Farleya.

- Nie jest ci gorąco? - zapytała.

- Lubię saunę.

Mokre od potu włosy Andrei zdawały się przyklejone do jej szyi. Pomachała znajomym przechodzącym przez ulicę. Jedna z nich była ostrzyżona na jeża. Andrea uśmiechnęła się do swoich myśli. „Co powiedziała by Ed Pinyon, gdybym pojawiła się w Święto Wyzwolenia z poma-
rańczowymi, stojącymi dęba włosami?”

Jak gdyby przywołany telepatycznie, Ed Pinyon wyszedł z budynku. Zatrzymał się przy otwartym oknie wozu. Do licha. Gdyby była o sekundę szybsza...

- Andrea? Czyżbyś rzeczywiście przejęła po Bucku stanowisko szefa policji?

- Jak widzisz - zaczęła mówić, ale Ed ciągnął dalej:

- Nosisz mundur! Doprawdy, czy się spodziewasz, że... Kto to?

- Przede wszystkim zapomnieliśmy sobie powiedzieć: „dzień dobry” - zauważyła. - Tak, spodziewam się, że ludzie zaakceptują mnie jako stróża prawa. A ty, dlaczego nie kontrolujesz budowy dróg? - Sam chyba spał. Przy odrobinie szczęścia nie powinien się na razie obudzić.

- Przyjechałem, aby odebrać nowy garnitur i przedstawić ofertę dotyczącą tego kawałka drogi za posiadłością państwa Warren. Muszę wygrać tę sprawę. Nikt poza mną nie ma sprzętu ani robotników.

- Jestem pewna, że ci się uda, Ed. Bardzo rozwinąłeś firmę ojca. - Sam nieznacznie się poruszył. Wiedziała, że nie śpi. „O Boże - powiedziała do siebie - spraw, aby jeszcze udawał, że śpi”. Przewidywała, co mogło się stać, gdyby Ed powiedział coś niemiłego do Sama.

Spojrzała na Eda. Był człowiekiem sukcesu i na takiego wyglądał w swojej starannie uprasowanej koszuli

i eleganckich spodniach. Ubierał się dokładnie tak, jak według opinii publicznej powinien się ubierać przyszły polityk. Chociaż nie mogła zobaczyć jego stóp, wiedziała, że miał na sobie buty ręcznej roboty z wężowej skóry. Był z nich taki dumny. Te niezwykle drogie buty domagały się w myślach Andrei porównania ze starymi, znoszonymi butami Sama. One spełniały należycie swoją rolę.

Ed nadal mówił, ale Andrea nie miała pojęcia, o czym. Zależało jej tylko na tym, aby jak najprędzej przerwać rozmowę i uniknąć kolejnych pytań.

- Przepraszam, Ed. Muszę już wracać. Buck jest sam w komisariacie, i to, jak wiesz, z nogą w gipsie.

- No dobrze, ale nie odpowiedziałaś, kim jest ten facet. Buck z pewnością nie pozwala ci wozić więźniów!

- On nie jest więźniem i nie zanosi się na to, że kiedykolwiek nim będzie.

Ed pochylił się nad nią z poważnym wyrazem twarzy.

- Jeśli chodzi o tego obcego, który zatrzymał się w domu Mamie Hines, lepiej trzymaj się od niego z daleka.

- Chwileczkę, Ed. Nie rozkazuj mi. Mam pracę do wykonania.

- Oczywiście nie traktujesz poważnie tej całej zabawy w policjantkę? Nie chciałbym, aby coś ci się przydarzyło. Nie chciałbym, aby coś ci się przydarzyło z powodu jakiegoś przybłądy.

Andrea zagłuszyła kaszlnięciem chrząkanie dochodzące spod kapelusza Sama i pośpiesznie odpowiedziała:

- Ed! Przecież nawet go nie znasz! Jest wnukiem Mamie Hines. Za kilka dni wyjeżdża. Muszę już jechać.

Wycofała samochód i ustawiła w takiej pozycji, że okno po stronie Sama znalazło się obok Eda.

- Porozmawiamy o tym wieczorem, Andy! - zawołał Ed.

W tym momencie Sam podniósł się, zsuwając kapelusz

na tył głowy. - Nie liczyłbym na to, panie burmistrzu. Dziś wieczór umówiona jest ze mną.

- Andrea! Kim, do diabła, jest ten facet?

- Nie twoja sprawa! - krzyknęła i odjechała z dużą prędkością.

Sam śmiał się.

- Jeśli to jest mężczyzna twojego życia, poruczniku Fleming, jesteś w opałach.

- Jak śmiałeś mówić Edowi, że umówiliśmy się na wieczór! - Kręciła nerwowo głową. Była wściekła na Sama i zła na siebie za to, co powiedziała Edowi. - Nie ma w moim życiu żadnego mężczyzny, ale Ed Pinyon jest w porządku. To mój stary przyjaciel.

- Nie sądzę, aby on też tak myślał.

- Nie obchodzi mnie, co ty sądzisz. Mam jeszcze jeden mały obowiązek do spełnienia, Samie Farley, więc jeśli cenisz sobie wolność, lepiej, żebyś nic nie mówił.

Kiedy Andrea zatrzymała wóz przed główną siedzibą policji, Sam doszedł do wniosku, że tutaj dyskrecja byłaby szczególnie wskazana. Zakrył twarz kapeluszem i wsunął się w fotel. Andrea weszła do środka i poprosiła Lewisa Hayslipa o poufny raport dotyczący jej pasażera.

- Ostatni adres? - spytał Lewis.

Musiała zgadywać. Strzeliła w końcu:

- Teksas.

- Zgodnie z kopią testamentu posiadłość została w całości przekazana Millie Lynn Hines, jedynej córce państwa Hines. Nie było nawet słowa o Samie Harleyu.

Kiedy wyszła z budynku, znalazła Sama w towarzystwie dwóch sekretarek. Cudownie! Skinęła ostro obu kobietom, wśliznęła się do wozu i z piskiem opon ruszyła z miejsca.

Sam uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Kobiety z okręgu Meredith wyraźnie się nim interesowały, co zauważył z niemałą satysfakcją. Jednak zainteresowanie

poważnej policjantki stanowiło fascynujące wyzwanie. Warte może nawet więzienia.

Kiedy dojechali do domu Mamie, Andrea zatrzymała wóz i z włączonym silnikiem czekała, aż Sam wysiadzie.

- Nie wpadłabyś na odświeżający łyk zimnej wody ze studni, o której mówiłaś wcześniej?

- Nie. Muszę wracać do miasta. Sam - dodała z troską w głosie - przykro mi z powodu podatków. Bardzo bym chciała ci pomóc.

- Mogłabyś. Mogłabyś wziąć mnie na lunch.

- Nie dzisiaj. Zawsze możesz zejść na dół i zjeść z Louise. Jej herbatniki są wyśmienite.

- Ale, kochanie, Louise Roberts nie nosi munduru policyjnego.

Kiedy ruszyła, słyszała jeszcze wesołą melodyjkę, którą gwizdał Sam. W połowie drogi do miasta spostrzegła nagle, że nuci tę samą piosenkę.

- Dlaczego to trwało tak długo? - pytał Buck. - Już pora lunchu.

- Natknęłam się przypadkiem na Eda. Nie jest zbyt szczęśliwy, że cię zastępuje. Uważa, że to nie wypada.

- Jesteś pewna, iż to Ed nie jest zadowolony z twojego zachowania, a nie Sam Farley?

- Jestem pewna.

- I? - Buck przybrał niewinny wyraz twarzy. - Jak się czuje nasz przybysz?

- Wystarczająco dobrze, ażeby powiedzieć Edowi Pinyonowi, że jest ze mną umówiony na wieczór.

- Co? - Buck uderzył gipsem o biurko.

- Zabrałam go z autostrady, na której próbował zatrzymać jakiś samochód i dostać się do urzędu.

- Nie powiesz mi chyba, że będzie się upominał o dom?

- Nie wiem, Buck. Wygląda jednak na to, że nie spie-

szy mu się z odjazdem. Nie wiem, co o tym myśleć. Oto kopia testamentu Mamie.

Podawała ją ojcu i wyszła do holu, aby uniknąć pytań. Nadal była zła na Bucka za to, że chciał ją związać z Edem.

- Ktoś wrzucił przez otwór na list dwie koperty zawierające rachunki za wodę. Andrea sprawdziła wysokość sumy i przygotowała pieniądze.

- Wszystko jest w porządku. - Głos Bucka doszedł z sąsiedniego pokoju. - Nieważne prawo jazdy. Metryka urodzenia stwierdza, że ojcem jest Granger Farley, miejsce urodzenia - nieznane. Nazwisko brzmi znajomo.

Andrea zgasiła światło i wróciła do biura.

- Myślę, że nie musimy się martwić o ojca Sama. Sam otrzymał nazwisko Farley, ponieważ jego matka była zafascynowana przystojnym gwiazdorem filmowym z lat pięćdziesiątych. On nie zna swojego prawdziwego ojca.

- Widzę, że mieliście bardzo poufałą rozmowę. Czy sądzisz, że zapłaci podatki?

- Nie, nie sądzę. - Usiadła na ławie przy drzwiach i wachlując się obserwowała małego czarnego pieska, który lizał resztki lodów leżące na chodniku.

- Skąd ta pewność, Andy?

- Przybywa pieszo do miasta, niosąc cały swój dobytek na plecach. Mówi, że jest cieślą, który przemierza kraj wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu najlepiej płatnej pracy. Wszystko, co dotyczy tego człowieka, jest przejściowe. - Przypomniała sobie jego oczy, które zdawały się szydzić ze wszystkiego, a zarazem wyrażały głęboki smutek.

Poderwała się na równe nogi i pchnęła drzwi wyjściowe. - Pójdę na pocztę odebrać przesyłki - zawołała za sobą. - Zaraz wracam.

- Tak, wróć jak najprędzej! - krzyknął Buck. - Idę do kawiarni na spotkanie z Otisem.

Andrea, przechodząc przez ulicę, czuła na sobie wzrok

Bucka. Po drodze spotkała ociągającego się jak zwykle w pracy Brada Dixona.

Wracając natknęła się na Bucka, który właśnie wsiadał do ciężarówki Otisa Parkera.

- Och, Andy, jadę z Otisem sprawdzić, jak działają jego hamulce. Potem pójdziemy coś zjeść.

- Dobry pomysł - przyznała z powagą. - Ja również zjadłabym z chęcią pieczonego kurczaka i herbatniki u Louise. Mam cię przywieźć z powrotem?

- Nie martw się o to - powiedział Otis. - Muszę jeszcze dzisiaj pojechać do Cottonboro po zestaw narzędzi, więc w drodze powrotnej zabiorę Bucka. Nie ma problemu.

- Całe szczęście - roześmiała się - że nie masz nogi na wyciągu, tato. Otis musiałby ciągnąć po autostradzie twoje szpitalne łóżko.

Było nieco po pierwszej, gdy usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. Jeśli kolejna osoba przyszła do komisariatu spytać o nowego przybysza o dzikim wyglądzie, Andrea pomyślała, że będzie musiała naładować pistolet. Westchnęła i odwróciła się.

- Witaj, kochanie. Obawiam się, że przyszły burmistrz będzie musiał trochę poczekać. Zabieram cię na lunch.

Westchnęła raz jeszcze. To znowu Sam Farley. Opierał się niebale o ladę, która oddzielała poczekalnię od biura i cel. Andrea nie spodziewała się go.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Przyszedłem cię przeprosić. Ostatnie, czego bym sobie w tej chwili życzył, to popaść w konflikt z prawem w tym mieście.

Wciągnęła głęboko powietrze i poczuła, że jej opór słabnie. Stali niespełna metr od siebie, badawczo się sobie przyglądając. Nie wiedziała nic o tym, aby groził mu konflikt z prawem, ale jego ciemne, głębokie oczy sprawiły, że to ona, przedstawicielka prawa, była w tarapatkach. Na

szczęście lada stanowiła barierę między nią a Samem. Znajdowali się w samym sercu departamentu policji i Andrea musiała zmierzyć się ze swoim przestępcą.

- Jestem na służbie - powiedziała cicho.

- A czy policjanci na służbie nie jadają lunchu? Nie musimy przecież jechać samochodem. Możemy po prostu pójść pieszo do lokalu za rogiem.

- Doceniam twoje przeprosiny, ale naprawdę nie potrzebuję ciągłych emocji w swoim życiu. Zanim przybyłeś do miasta, było cicho i spokojnie. Dlaczego to robisz?

Wyglądał na zakłopotanego.

- Myślałem, że wspólny lunch może stanowić miłą rozrywkę dla nas obojga.

- Rozrywkę? Lubisz, kiedy twoje życie jest chaotyczne? Potrzebujesz wyzwania, gry, prawda? Dlaczego?

„Rzeczywiście, dlaczego?” - zapytał w duchu sam siebie. Nie znał odpowiedzi. Przyszedł w ten upalny dzień, kiedy zdawało się, że wiatr jest jedynie wytworem udreżonej ludzkiej wyobraźni, tylko po to, aby zobaczyć tę kobietę. Naprawdę nie rozumiał, dlaczego to zrobił. Odczuwał jedynie przyspieszone bicie własnego serca, a tego z pewnością nie spowodował upał.

Kiedy tego ranka zobaczył ją ubraną w policyjny mundur, zrozumiał wreszcie, dlaczego kobiety zawsze zakochują się w policjantach. Jedyne, czego w tej chwili pragnął, to pochylić się i pocałować stojącą obok niego przedstawicielkę prawa.

Było coś szczególnego w tej kobiecie. O tak, to najbardziej zmysłowa kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał. Nie miało znaczenia nawet to, że spoglądała na niego tak, jakby chciała go zabić. Nie potrafił z niej zrezygnować.

Andrea wyprostowała się.

- Niech pan wsiada, panie Farley. Odwiozę pana do domu. - Przeszła obok niego szybkim krokiem i stanęła

w drzwiach. - Nie pójdę z tobą na lunch, ponieważ nadałoby to oficjalny charakter naszej znajomości.

- Chcesz przez to powiedzieć, że kobieta i mężczyzna nie mogą tak po prostu iść razem na lunch? Przecież żyjemy w latach dziewięćdziesiątych.

- Ta kobieta nie może, Samie.

- Hmm... A co dobrzy obywatele Arkadii, z twoim ojcem na czele, powiedzą na to, że jeździmy razem wozem policyjnym?

- Zrozum to. Wieczorem całe miasto będzie mówiło o tym, że poświęcam więcej czasu tobie niż swoim obowiązkom.

- Można by się jeszcze lepiej zabawić. - Podszedł do niej tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech.

- Zabawić? Skończ z tym, Sam. Czego właściwie ode mnie chcesz? Chcesz zniszczyć moją reputację?

- Ach, moja droga. - Uśmiechnął się i wyszeptał: - Nie chciałabyś kiedyś wstrząsnąć tym miastem, robiąc coś niezwykłego? Rozluźnij się, oszalej razem ze mną!

Andrea już wielokrotnie słyszała wyrażenie „roztańczone oczy”, ale do tej pory nie wiedziała, co ono właściwie oznacza. Do tej pory udawało jej się unikać jego spojrzeń. Teraz, w świetle słońca, zauważyła, że jego oczy nie są czarne, ale mają barwę gotującego się syropu z trzciny cukrowej, na moment przed wlaniem do słoika. A najbardziej niepokoiło ją to, że były równie gorące.

- Wsiadaj do wozu, Farley! - rzuciła nagle. - Mieszkam w mieście, gdzie dobra reputacja jest niezwykle ważna, a ty zdecydowanie starasz się zniszczyć moją.

- Przepraszam, nie chcę ci robić kłopotów, i tak narobiłem ich już zbyt wiele. - Pozwolił, by popchnęła go do przodu, i za chwilę znalazł się przy wozie. - W przyszłości postaram się być delikatniejszy.

- Ty delikatniejszy? Chciałabym to zobaczyć.

- Zobaczysz. Chcesz, żebym usiadł z tyłu za kratą? Wszystko będzie wyglądało bardzo oficjalnie.

- Tylko nie to. Zanim zdążylibyśmy wyjechać z miasta, wszyscy nagabywaliby Agnes, usiłując się dowiedzieć, kto jest moim więźniem. Usiądź normalnie, z przodu.

Sam zastosował się do prośby i obserwował, jak Andrea siada za kierownicą. Cała ta gra była dla niego czymś nowym. Dlaczego jego babka nie mogła mieszkać, dajmy na to, w Chicago? Tam reakcja sąsiadów polegałaby jedynie na odczuciu ulgi, że to on, a nie któryś z nich, siedzi w wozie policyjnym. Nie był teraz pewien, o co mu właściwie chodziło. Przyszedł do miasta i przeprosił kobietę, której niczym nie obraził. Wiedział jednak, że ta wizyta nie sprawiła jej przykrości, może nawet ją ucieszyła. Nigdy wcześniej nie miałoby to dla niego najmniejszego znaczenia. Tym razem było inaczej. Dopiero przy Andrei zdał sobie sprawę, jak samotne życie wiódł dotąd. Andrea zdawała się łączyć w jego świadomości z owymi rozdzierającymi myślami o domu i rodzinie, które doprowadzały go do szaleństwa.

- Słuchaj, poruczniku Fleming, jest mi naprawdę przykro, jeśli obraziłem cię zeszłej nocy i dziś rano, ale wcale nie żałuję, że cię pocałowałem. - Przerwał na chwilę. - Jestem pewien, że zrobię to znowu. Jeśli więc chcesz bronić swojej reputacji, lepiej, żebyśmy natychmiast ruszyli.

Patrzyła na niego przez chwilę z desperacją w oczach. Włączyła silnik i ruszyła, czując na sobie oburzony wzrok starca, który siedział na ławie przed apteką.

Jechała szybko, zastanawiając się, dlaczego ten mężczyzna postanowił zniszczyć jej plany. Sam Farley doprowadził ją do takiego stanu, że dopiero w połowie drogi do własnego domu zorientowała się, iż skręciła w złą stronę.

- Zobacz, co przez ciebie zrobiłam.

- Obawiam się, że musisz mówić nieco jaśniej. Co

przeze mnie zrobiłaś? Nie powiedziałem słowa, nie dotknąłem cię.

- Dom Mamie jest dokładnie w przeciwnym kierunku.
- Cóż - powiedział z uśmiechem. - Czekam na propozycję. A może piknik pod Dębem Zakochanych? - Nie rozumiał, dlaczego utrzymywał wciąż ten uwodzicielski ton, zdradzając w tak oczywisty sposób swoje zainteresowanie Andrea. Ścigał ją, porucznika policji, wcielenie południowej kobiecości, mając na karku miasto pełne czujnych oczu.

Andrea zachmurzyła się.

- Nie znam się, w przeciwieństwie do ciebie, na tych różnych sprytnych małych gierkach, i nie chcę się znać. Powiedziałeś, że masz ochotę na lunch. W porządku, Farley, nakarmię cię.

- Czyżby nowe ciastka z czekoladą?
- Nie, myślałam raczej o arszeniku.
- Dobrze pomyślane. Arszenik działa powoli. Będziemy mieli dość czasu, aby umilić moją śmierć. Swoją drogą, mogłaś włożyć arszenik do ciastek.

- Koniec z ciastkami. Louise piecze je specjalnie dla Bucka. Są... przyjaciółmi.

- Rozumiem, ciastka i przyjaźń. Czy jest to ogólnie przyjęty sposób ogłaszania związku?

- Nie, nie sądzę, aby ich przyjaźń miała charakter publiczny, przynajmniej na razie. Nie wiedziałam, że się spotykają, do momentu kiedy Buck złamał nogę i nie mógł prowadzić wozu.

- A zatem dyskrecja jest możliwa w Arkadii, jeśli ktoś bardzo tego pragnie.

- Myślę, że tak - przyznała. Mogła mu powiedzieć, że zachowanie w tajemnicy związku dwojga ludzi jest możliwe w Arkadii. Kiedyś potrafiła tak doskonale dochować tajemnicy, że nawet Buck nie wiedział o tym, iż za-

kochała się w pewnym mężczyźnie. Tamten, podobnie jak Sam, był obcy.

Dojeżdżali już do domu Andrei. Choć wydawało jej się to niezrozumiałe, musiała przyznać, że w wielu sprawach Sam miał rację. Ostatnio coraz częściej przeżywała chwile, kiedy pragnęła wstrząsnąć całym miastem, zrobić coś niezwykłego i zdumiewającego. Bunt nie przychodził łatwo i wymagał zbyt wysokiej ceny. Podjechała pod dom i zaparkowała wóz pod drzewem leszczyny obok ganek.

- Jeśli chodzi o ciastka - kontynuował niewinnie Sam - to nie uwierzysz, poruczniku Fleming, ale słyszałem o ciastkach z Arkadii jeszcze jako mały chłopiec. Minęło wiele lat, zanim dane mi było ich spróbować, ale warto było czekać.

Wiedziała, że powiedział „ciastka”, ale z rozmarzonego tonu jego głosu wyczytała, iż miał na myśli coś innego. Tylko co?

Sam patrzył przez okno na biały dom, podwórze i ganek.

- Masz huśtawkę - wymamrotał - i pnące wino, które zamienia werandę w intymny zakątek. Mogłem się tego spodziewać. - Kiedy wysiadł z wozu i zaczął iść w kierunku domu, Andrea nie miała już wyboru - musiała iść za nim.

Pragnęła opanować drzenie, które odczuwała zawsze w jego obecności. Wszystko, co wiązało się z Samem Farleyem, wytrącało ją z równowagi. Teraz jego zachowanie również wydawało się niezrozumiałe. Wszedł na ganek, usiadł na huśtawce i zaczął się bujać. Stała obok. Uśmiechał się beztrasko.

- Dobrze się czujesz, kowboju?

- Świetnie. Po prostu myślę. - To była prawda, ale nie potrafił pozbierać swoich myśli w logiczną całość. Gdzie tylko spojrzeł, widział przeszłość Andrei, ustabilizowaną. Nigdy przedtem nie rozumiał, dlaczego jego matka pragnęła mieć na świecie swoje miejsce. Dla niego każde

miejsce było równie dobre. Otrząsając się z tych niepokojących myśli, wymusił na twarzy kolejny uśmiech.

- A więc tutaj mieszkasz.

- Owszem. Może wejdziemy do środka, tam jest chłodniej. Tutaj mamy słońce prosto nad głowami. Nie chciałabym, abyś dostał udaru.

- Jestem przyzwyczajony do ostrego słońca. Zapomniałaś? Pracowałem nawet w takich miejscach, gdzie temperatura sięgała czterdziestu stopni w cieniu. Chętnie jednak wejdę z tobą do środka. Lubię również wewnętrzne ciepło. - Jego oczy zaiskrzyły się, kiedy leniwie wstał z huśtawki i poszedł za Andrea.

Ukradkiem rzuciła na niego spojrzenie. A więc robił to znowu, znowu spowijał ją w jakiś elektryczny koc, ładowany energią jego oczu. Weszła do środka i podniosła słuchawkę.

- Agnes, połącz mnie z komisariatem.

- Myślałam, że tam właśnie jesteś, Andy.

- Nie, ja... przyjechałam do domu na lunch.

Najpierw słychać było jakiś przełącznik, potem dzwonek i wreszcie odezwał się po drugiej stronie znajomy głos:

- Komisariat policji. Buck przy telefonie.

- Buck, pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli ci powiem, gdzie jestem.

- Świetny pomysł. Zwłaszcza że słyszałem już od dwóch osób, że pojechałaś z Samem Farleyem. - Jego niezadowolenie zmieniło się w troskę. - Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Jestem w domu, jeśli będziesz mnie potrzebował.

- Zaraz, chwileczkę...

- Cześć, Buck. Niedługo wracam. - Odłożyła szybko słuchawkę.

Sam spacerował po salonie.

- Zostawiacie okna szeroko otwarte - zauważył. - To niesamowite.

Podobał mu się dom Andrei Fleming - ciepły i przytulny. W środku znajdowały się zupełnie do siebie nie pasujące krzesła, stoliki, szafki i łóżka. Ściany były pomalowane na różowo i nakrapiane delikatnymi białymi plamkami. Podłogi z twardego drewna wypolerowano i pokryto małymi płóciennymi dywanikami w kolorach: brązowym, różowym i zielonym. Duży kominek wyłożony wewnątrz marmurem podtrzymywał wahadłowy zegar, na którego tarczy widniały słońce i księżyc. W rogu stało pianino, a nad nim wisiały rodzinne zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało małą Andreę z rowerem i obtartym łokciem. Fotografia ze szkoły średniej ukazywała ją w stroju sportowym, trzymającą w ręku puchar. Już wtedy była kobietą z wyraźnie zarysowanymi pod bluzką piersiami i długimi, szczupłymi nogami.

- Czy mieszkasz sama? - spytał z zaciekawieniem, widząc męski kapelusz na kuchennych drzwiach.

- Oczywiście, że nie. Myślałam, że wiesz. Mieszkam z Buckiem.

Zmarszczył brwi, wyrażając w ten sposób swoje zdziwienie.

- Mieszkasz jeszcze z tatusiem?

- Oczywiście, a gdzie niby miałabym mieszkać? - Pytanie Andrei nie wynikało z chęci obrony, ale ze zwykłej ciekawości.

- Rozumiem. No cóż, musi to być nie lada stres dla przyszłego burmistrza - spotykać władzę za każdym razem, kiedy do ciebie przychodzi. Swoją drogą, dlaczego nazywasz ojca Buck?

- Sprawił, że wstydziła się tego, iż mieszka w domu z ojcem. Wcześniej uważała to za najzwyklejszą rzecz na świecie.

- Każdy w Arkadii nazywa mojego ojca Buck.

Odwróciła się i przeszła do kuchni. Włączyła wentylator. Nie uciekała od Sama. Uciekała od... intymności. Sam poszedł za nią.

- Obawiam się, że niezbyt ładnie potraktowałem go dziś rano - wyznał. - Ale nie wiedziałem, że jest twoim ojcem. Nie czuję się najlepiej w towarzystwie kogoś, kto ma przy sobie pistolet. Przykro mi. - Wyciągnął stołek i usiadł, obserwując krzątającą się dziewczynę.

- Jakoś przeżyje.

- Wiem, martwię się raczej o siebie.

Wyjęła z lodówki sałatę i włożyła ją do drewnianych miseczek. Dodała do tego sałatkę z kurczaka, a na talerzykach pod miseczkami ułożyła pszenne krakersy. Ponownie sięgnęła do lodówki, tym razem po lód i dzbanek z herbatą. Wentylator chłodził znakomicie, ale odrobina potu i tak pojawiała się na jej czole.

Stwierdzenie Sama, że martwi się wyłącznie o siebie, wciąż wisiało w powietrzu.

- Ty? - powiedziała w końcu. - Ty, martwiący się o cokolwiek? Przecież jesteś człowiekiem, który żyje na krawędzi. Ja nie potrafiłabym tak żyć i uniknąć upadku.

- A myślisz, że ja potrafię? Jeśli tak, to się grubo mylisz. Upadałem już wielokrotnie, ale zawsze znajdowałem siłę, aby powstać i iść dalej. To jest wyzwanie, które czyni życie fascynującym, moja droga.

- Może, ale ja nie mogłabym toczyć ciągłej walki. Nie otrząsam się tak łatwo z porażek. - Kto wie, może i mnie byłoby teraz trudniej.

- Wygląda na to, że oboje musimy zmienić nasze wyobrażenia o sobie samych - stwierdziła niepewnie. - Myślę, że nie masz nic przeciwko sałatce na lunch. Jest zbyt gorąco na coś cięższego. - Zniosła naczynia na zacienioną werandę.

- Och, nie. Sałatka mi odpowiada. - Miała rację, był straszny upał. Sam nie sądził jednak, aby ten żar można

złagodzić sałatką lub wentylatorem. Poszedł za nią i usiadł przy małym stoliku. - Opowiedz mi o sobie. Jak udało ci się zejść tak wysoko w policji?

- Buck złamał nogę w wypadku samochodowym. Trzeba było kogoś, kto by go zastąpił. Ponieważ przez tyle lat miałam do czynienia z tym zawodem, wybrano właśnie mnie. Jestem nawet na liście płac.

- A jak to się stało, że wóz policyjny nie został uszkodzony?

Buck jechał naszym prywatnym samochodem. Tego dnia miał wolne.

- A co robisz, kiedy nie jesteś na służbie?

- Nic szczególnego. Pracuję w Urzędzie Miejskim. Między innymi przyjmuję rachunki. Robię w zasadzie wszystko, co w danej chwili jest do zrobienia. Jestem prostą dziewczyną z prowincji, to wszystko.

- Nie widzę w tobie nic prostego, Andreo Fleming.

Przez chwilę jedli w ciszy. Słysząc było jedynie wesołe bzykanie pszczoły tańczącej wokół kwiatowych kielichów za gankiem.

- A ty, Sam? Jak zostałeś cieślą?

- Umiejętności stolarskie zdobyłem w szkole. Najmniej posłusznych uczniów zwykle posyła się na warsztaty. Podobnie stało się w moim przypadku. O dziwo, okazało się, że to polubiłem. Na budowie nie liczy się, kim jesteś, ale czy dobrze umiesz wykonać swoją pracę.

- Wyciągnął dłoń w stronę dziewczyny i delikatnie strzepnął okruch z jej ust. Ten niespodziewany dotyk podziałał na nią elektryzująco, co Sam bez trudu spostrzegł.

- W Arkadii liczy się i to, kim jesteś, i ta, co potrafisz zrobić - stwierdziła. - Możemy kogoś nie zaakceptować, ale kiedy już jest jednym z nas, czujemy się za niego odpowiedzialni.

- Nie sądzę, aby moja matka w to wierzyła.

Nie wiedziała, co powiedzieć na jego wątpliwości.

- Przykro mi, Sam. Nie mam pojęcia, co się wtedy wydarzyło. Nikt tego nie rozumie.

- Ja tak. Zaszła w ciążę i została wyrzucona. Spędziła resztę życia na wspomnianiu tego miejsca. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego było ono dla niej tak ważne.

- Wydaje mi się - zaczęła powoli Andrea - że nasze korzenie są swego rodzaju źródłem życia, że są niczym kotwica, która ratuje nas w czasie burzy. Może właśnie dlatego twoja matka tak często wracała myślami do rodzinnego miasteczka.

- Kotwica podczas burzy. Muszę to zapamiętać. Nigdy nie przebywałem pośród ludzi, którzy akceptowali swoje słabości. Szczerze mówiąc - zawahał się - wątpię, czy tacy ludzie w ogóle istnieją.

- Uwierz w to, Sam. Ludzie w Arkadii troszczą się o siebie nawzajem. Obcym trudno jest to zrozumieć.

- Obcym? Moja matka należała do tej społeczności, a jednak została odrzucona.

Rozdział piąty

Andrea zaczęła sprzątać naczynia. Dawid również był obcy. Nie rozumiała, dlaczego jej myśli wciąż wracały ku niemu. Stanowił już tylko część jej przeszłości, część czegoś, co dawno minęło.

- Muszę wracać do pracy - stwierdziła z westchnieniem.

- Och, nie - sprzeciwił się, żalując, że powiedział coś, co kazało jej wrócić do teraźniejszości. - Czy to konieczne? Nie mogłabyś wziąć wolnego popołudnia? Poszlibyśmy na ryby.

- Wolne popołudnie? Wykluczone! Sam, musisz zrozumieć, że nie możesz tak po prostu przychodzić tutaj i spodziewać się, że ja...

- Że ty, co? - Po chwili stał przy niej. - Dlaczego zawsze uciekasz ode mnie, gdy próbuję się do ciebie odrobinę zbliżyć?

- Ja... - Andrei wydawało się, że słyszy bicie własnego serca. Nie mogła myśleć, gdy był tak blisko; nie mogła oddychać; nie mogła nawet przywołać obrazu przeszłości, który miał stanowić dla niej ciągłą przestrożę. - Nie wiem, jak postępować z kimś takim jak ty, Sam. Jesteś obcy i nie wiem, jak... jak zachować dyskrecję.

- Masz rację. W każdym miejscu jestem obcy. Ale może właśnie Arkadia i ta... - Rozejrzał się po kuchni. -

- Może właśnie jestem w miejscu, które najbardziej przy-
pomina mój dom.

- Wybacz, Sam. Obawiam się, że mieszasz swoje marzenie o Arkadii z uczuciem do mnie. Pozwól mi zostać twoją przyjaciółką.

- Przyjaciółką? Miałem sekretne kochanki, ale nigdy nie miałem sekretnej przyjaciółki, z którą na dodatek nie mógłbym spokojnie pójść na lunch. To doprawdy coś nowego. Jak powinni się zachować przyjaciele, kiedy pragną się pocałować? - Z uwagą obserwował zmieszanie Andrei.

- Po prostu się nie całują. Skończmy z tym, przyjaźń albo nic, Sam. Zostawię na razie te naczynia. Buck zacznie chodzić po ścianach, jeśli zaraz nie wrócę.

- W porządku. - Buck nie był jedyną osobą, która w tej chwili nie umiała usiedzieć spokojnie. - A co przyjaciele mogą robić, nie łamiąc zasad?

- Cóż, chodzą razem na kościelne spotkania i nad jezioro albo jeżdżą na wrotkach. - Wytarła kuchenny blat i wyłączyła wentylator. Wyszli na zewnątrz.

- Och, moja droga, czy wyobrażasz sobie mnie na kościelnym spotkaniu? Gabriel dałby w swój róg, a ściany waliłyby się z hukiem.

Przystanąła przy wozie i spojrzała poważnie na Sama.

- Być może Gabriel dałby w swój róg, ale nasze ściany są mocne.

- Tak, miałem kiedyś do czynienia z małomiasteczkowymi ścianami. Czasami trzymają człowieka zbyt mocno.

- Tylko wówczas, kiedy sam tego chce. Niektórzy ludzie nie chcą, ale ja tak.

Dostrzegł w jej twarzy pewność i zdecydowanie, których jemu brakowało. Własne myśli wydawały mu się znacznie mniej klarowne. Przez ponad minutę trwała cała-

kowita cisza. W końcu otworzył Andrei drzwi i wytwornym skłonem zaprosił do środka.

- Do licha! - wykrzyknął Sam, gdy oboje siedzieli już w samochodzie. - Jak ty znosisz te chmary komarów? - Strzepnął kilka nerwowym ruchem ze swojej twarzy.

- Tak się do nich przyzwyczaiłam, że zupełnie mi nie przeszkadzają. Są, podobnie jak bawełniany pył, częścią Arkadii. - Włączyła silnik i po chwili ruszyli.

Wydawało się, że Sam nie usłyszał jej odpowiedzi.

- Właśnie sobie myślałem - stwierdził - że byłbym głupcem, gdybym dopuścił do utraty domu na aukcji. W końcu jestem cieślą. Mógłbym go wyremontować i sprzedać, uwzględniając w cenie wartość zaległych opłat podatkowych. Jeszcze bym na tym zarobił.

- Dlaczego ktoś miałby płacić całą sumę, jeśli po prostu wystarczy zapłacić podatki?

- A więc nie jest to dobry pomysł. Problem polega na tym, że to pierwszy dom, który prawie należał do mnie.

Andrea zauważyła, że Sam namiętnie studiuje krajobraz, jak gdyby wchłaniał wszystko, co widział. Jak rośliny sięgająca po promienie słoneczne, tak on zdawał się chłonać spokój Arkadii.

Spostrzegł uśmiech na twarzy dziewczyny i wiedział, że ona rozumie jego uczucie. Czuł się bardzo dobrze. Przybył w tę okolice tylko i wyłącznie po to, aby obejrzeć dom, do którego tak silnie przywiązana była jego matka, a nie dlatego, aby wydawać resztę swoich pieniędzy.

Nic nie szkodziło jednak pozostać jeszcze tydzień lub dwa i poznać lepiej piękną policjantkę. Należało zmienić jej poważny stosunek do życia. Poza tym Sam chciał się przekonać, co znaczy mieć własne miejsce na świecie. Kto wie, może by nawet wybrał się z nią na piknik organizowany z okazji Święta Założenia Miasta. Czy to przypadek przywiódł go do Arkadii, czy raczej przeznaczenie?

Andrea zostawiła Sama w supermarkecie, prosząc sprzedawcę, aby odwiózł go potem z zakupami do domu. Buck nie spytał, gdzie była, więc nie próbowała się tłumaczyć. W piątek zrezygnowała z kina. Z kolei w niedzielę, pierwszy raz od wielu lat, nie poszła do kościoła, uzasadniając to złym samopoczuciem. Z Samem nie widziała się już czwarty dzień.

We wtorek Buck zabrał się wczesnym popołudniem z Otisem do domu, zostawiając Andree roztrzęsioną.

Dzwonił Lewis z Głównego Biura Policji. Okazało się, że nie uzyskał jeszcze wiadomości dotyczących Sama, ale za to stwierdzono kolejną kradzież. Tym razem zniknęła koparka z budowy w okolicy Midway. Prosił Bucka o czujność. „Wygląda na to, że ci złodzieje stają się coraz zuchwalsi - stwierdził Lewis. - To już trzecia kradzież ciężkiego sprzętu w tym miesiącu. Maszyny są ubezpieczone, ale straty i tak ogromne”.

Andrea przyjęła raport i zapewniła, że będą szukać skradzionego sprzętu. Telefon zadzwonił ponownie.

- Komisariat, słucham.

- Witaj, kochanie: Pani Louise uprzejmie pozwoliła mi skorzystać ze swojego telefonu. Stęskniłaś się za mną?

Usiadła z wrażenia, czując falę ciepła ogarniającą jej ciało. Widziała w wyobraźni jego uśmiech i nie potrafiła wypowiedzieć słowa.

- Jesteś tam, szefie?

- Oczywiście, panie Farley. W czym mogę pomóc? - W tej samej chwili spostrzegła, że pytanie kryło w sobie pewien nie zamierzony podtekst. Trudno, w końcu wszystko, co mówiła do tego mężczyzny, wydawało się dwuznaczne.

- Panie Farley? Oho, jesteśmy dzisiaj bardzo oficjalni. Osobiście wolę „Sam”. Sam pragnie, abyś do niego wpadła i zawładnęła jego ciałem. Obawiam się jednak, że to nie wchodzi w rachubę?

- Słusznie, kowboju.

- W takim razie chciałbym prosić porucznika policji o zwrot moich dokumentów. Mógłbym przyjechać do miasta i odebrać je, ale pomyślałem, że możesz sobie tego nie życzyć.

- Czy to znaczy, że wyjeżdżasz? - Podejrzany szmer w telefonie świadczył o tym, że mają słuchaczy. Albo ktoś korzystał z linii Louise, albo towarzyszyła im ukradkiem Agnes.

- Próbuję podjąć decyzję. Muszę z czegoś żyć, a nie wygląda na to, żeby było tu jakieś szczególne zapotrzebowanie na cieślę. Wasze ściany nie wymagają reperacji. - Teraz Sam mówił poważnie, porzucając zupełnie swój uwodzicielski ton. Po chwili oboje usłyszeli kolejny dziwny szmer.

- W porządku. Poproszę Bucka i Otisa, aby ci podrzucili dokumenty do domu. - Udało jej się powstrzymać drżenie głosu.

- Cudownie. Doceniam to.

Odłożyła słuchawkę i obróciła się na krześle. Buck powinien być w domu. Zadzwoiła, ale nikt nie odebrał telefonu. Gdzie się podziewał właśnie teraz, kiedy go potrzebowała?

Czuła, że zupełnie traci siły. Z kogo robiła sobie żarty? Od czterech dni była chodzącym wrakiem człowieka. Owszem, udało jej się pomóc w odnalezieniu zaginionej krowy, udało jej się załagodzić spór pomiędzy niegdyś wielce zaprzyjaźnionymi farmerami, którzy teraz kłócili się o mały skrawek ziemi, porośnięty jagodami i położony dokładnie między ich posiadłościami. Miała jednak ogromny kłopot ze złośliwymi sąsiadami obu farmerów, którzy stwierdzili, że skonfiskują jagody jako dowód rzeczowy i oddadzą wówczas, kiedy wrogowie upieką wspólnie ciasto na śródową wieczerzę w kościele.

Gdziekolwiek poszła, musiała odpowiadać na pytania

dotyczące Sama Farleya. Wzięła teraz tabletkę w nadziei, że uda jej się zapobiec bólowi głowy. Wiedziała jednak, że dręczy ją coś innego czy też ktoś inny... Sam. Był gorszy nawet od letniego upału. Nie widziała tego mężczyzny od czterech dni, ale myśli o nim nie dawały jej spokoju.

Być może, gdyby oddała mu dokumenty, spakowałby plecak i natychmiast wyruszył w drogę. Być może wówczas pozbyłaby się dręczącego niepokoju, który trzymał ją w swoich szponach od rana od nocy. Podniosła słuchawkę.

- Agnes, jadę do domu.

- Bucka tam nie ma.

- Myślę, że jest - stwierdziła zdecydowanym tonem. - Siedzi na werandzie i nie może odebrać telefonu.

Dziesięć minut później przekonała się, że Agnes miała rację. Postanowiła więc odwiedzić Sama Farleya. Unikanie go było jeszcze gorsze niż bezpośrednia z nim konfrontacja.

Droga przed domem Mamie była uprzątnięta; krzewy wokół alei - przycięte, a trawa - skoszona. Andrea wjechała na wzgórze i zaparkowała wóz za domem pod rozłożystą koroną drzewa obok świeżo skoszonego trawnika.

Sam usłyszał odgłos silnika i wyszedł jej na spotkanie. Stał na werandzie. Miał nadzieję, że Andrea przyjedzie.

Tym razem długie, gęste włosy dziewczyna spięła w warkocz, który opadając przez ramię, sięgał z przodu aż do piersi. Jej różowe usta i śniade policzki lśniły w słońcu. Nie miała makijażu. Błękitne oczy ocienione ciemnymi rzęsami nie wymagały upiększeń.

- Witam, Andreo.

„Andreo”. Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu. Zmieniło to ich wzajemny stosunek do siebie. Nagle wszystko stało się inne.

- Więc jednak znasz moje imię.

- Tak, znam. - Sam cofnął się o kilka kroków i stanął w kuchennych drzwiach.

- Ładnie tu - powiedziała, czując, że podłoga zapada się pod jej stopami zupełnie jak w wesołym miasteczku. Co takiego było w tym mężczyźnie? Dlaczego z wrażenia traciła równowagę? Jak zwykle miał na sobie wytarte dżinsy z dziurą na kolanie i czarną koszulę. Był boso. Widziała teraz jego długie i brzydkie stopy. Na szczęście - udało jej się znaleźć w tym człowieku coś, na co spokojnie mogła patrzeć, nie czując przyspieszonego pulsu.

- Dzięki. Trochę pracowałem nad tym, by doprowadzić to miejsce do porządku.

- Po co cały ten wysiłek? Zły pomysł, pamiętasz?

- Ponieważ... - zawahał się, lecz po chwili mówił dalej: - Dobrze mi to robi. Louise uczy mnie nawet gotować. Miałem do wyboru: albo to, albo śmierć z głodu - dodał. - Nie sędzę, abyś zrozumiała moje postępowanie. Sam go nie rozumiem, ale póki tu jestem, miejsce należy do mnie.

- Rozumiem dobrze, o co ci chodzi. - Rzeczywiście rozumiała. W tak niedługim czasie dom zmienił się nie do poznania. Nie był jeszcze w idealnym stanie, ale i tak sprawiał przyjemne wrażenie. Andrea zauważyła z satysfakcją, że Samowi spodobała się jej odpowiedź.

Skinął głową i wyciągnął do niej dłoń.

- To już widziałas, pozwól, że pokażę ci teraz coś jeszcze.

Spojrzała na jego dłoń, potem na twarz, nie wiedząc zupełnie, jak się zachować. W końcu napięcie ustąpiło i zauważyła, że na twarzy Sama powoli pojawia się uśmiech. Odpowiedziała mu tym samym. Przecież ani on nie był Dawidem, ani ona nie była Millie Hines. Pragnęła być jego prawdziwą przyjaciółką. Podała mu dłoń i pozwoliła się wprowadzić do ciemnego, chłodnego wnętrza.

- Nie jestem pewna, czy to najlepsze posunięcie.

- Jeśli nie, nauczę cię innych. Właściwe posunięcia są moją specjalnością.

Przeszli najpierw przez kuchnię, która lśniła nadzwyczajną czystością, chociaż bez wątpienia Sam musiał z niej korzystać. Potem, minawszy hol, stanęli w drzwiach salonu. Spojrzeli na siebie. Ciszę wypełniało zgodne bicie dwóch serc. Nawet w ciemności Andrea dostrzegła nie wypowiedziane pragnienie w jego oczach. Ale wyczytała w nich coś jeszcze. Może dumę, a może troskę. Być może - oboje cierpieli z nadmiaru namiętności, za którą tak bardzo tęskniła Madge.

- To tutaj? Co chciałeś mi pokazać? - spytała drżącym głosem.

- Nie, to nie tu. Tu jest coś innego. - Zanim zdążyła się zorientować, pocałował ją w usta i pociągnął za sobą na werandę. - To tutaj - stwierdził dumnie. - Co o tym sądzisz?

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. W ocienionym zakątku werandy dostrzegła jedynie starą, obdrapaną huśtawkę. Jeszcze oszołomiona pocałunkiem oraz tym, co dostrzegła w oczach Sama, nie od razu uświadomiła sobie, że właśnie huśtawkę chciał jej pokazać.

- Huśtawka Mamie?

- Tak. Znalazłem ją w szopie. Wymaga pomalowania i nowego łańcucha, ale powinna nas utrzymać. Usiądź ze mną na mojej werandzie, na mojej huśtawce. Andreo...

- Sama nie wiem. - Wahala się, nie tyle obawiając się o wytrzymałość łańcucha, co o swoją własną.

- Och, proszę cię. Nie przejmuj się sąsiadami. Jesteśmy tu zupełnie sami.

- Nie zobaczę, że tu jestem. Zaparkowałam za domem - zbył szybko odpowiedziała Andrea.

Sam ledwie powstrzymał uśmiech. Przyjechała do niego właściwie służbowo, ale jednak przyjechała. Świadomość tego napawała jego serce radością.

- Powinienem cię ostrzec. Nie ma pewności, że cię tu

nie znajdują. Ludzie z sąsiedztwa nadzwyczaj często się u mnie pojawiają.

- Och? Jestem pewna, że starają się z tobą zaprzyjaźnić.

- Przypuszczam raczej, że są ciekawscy. Zaproszono mnie na wspólny posiłek, na Święto Założenia Miasta, a nawet na spotkanie kościelne... Mnie, zatwardziałego grzesznika. Mógłbym być nawet mordercą, a to i tak nie zrobiłoby im najmniejszej różnicy.

- A jesteś?

- Czy jestem kim?

- Mordercą.

- Nie. Przynajmniej na razie. Ale jeśli zaraz nie usiądziesz, mogę się zacząć zastanawiać...

- No dobrze. - Pozwoliła, aby poprowadził ją do huśtawki, i usiadła, mając nadzieję, że drzewo jest dość mocne. Najbardziej jednak obawiała się własnej słabości. Kiedy po chwili Sam usiadł obok, deska głośno zaskrzypiała. Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, kołysząc się lekko, jak gdyby płynęli gondolą.

- Sam, nie gniewaj się na ludzi, którzy cię odwiedzają. Dla nich jesteś wnukiem Mamie i tylko to się liczy. Ufają ci.

- Tak, głupcy rodzą się na świecie co chwilę. Arkadia też ma w tym swój udział. Wygląda na to, że jestem jednym z nich, bo zaczynam wierzyć tym ludziom.

Spojrzała mu w oczy.

- Wiem, jak trudno ci uświadomić sobie w pełni, że jesteś tu mile widziany. Ale tak jest, z powodu Mamie. Nie zawieź nas - powiedziała, odwracając wzrok. - Nie pozwól, abyśmy żałowali tego, że przyjęliśmy cię między siebie.

Sam ześliznął rękę po łańcuchu i położył lekko na szyi dziewczyny. Przez cztery dni czyścił i sprzątał, unikał gości, ale jego myśli biegły tylko w jednym kierunku. Mimo że przez cały ten czas nie widział Andrei, nawet na chwilę

nie tracił sprzed oczu jej obrazu. Teraz, kiedy rzeczywiście była przy nim, zrozumiał, że nie robił tych porządków ze względu na babcię czy matkę. Wszystko to robił tylko dla niej. Westchnął ciężko.

- Dziękuję, że przyjechałaś. Przepraszam, że sprawiłem tobie i przysłemu burmistrzowi kłopot. - Natychmiast pożałował wypowiedzianych słów. Nie pragnął gościć nikogo na werandzie poza Andrea. Ale nie mógł otwarcie wyznać swoich myśli, póki nie był pewien, że coś do niego czuła.

- Nie sprawiłeś żadnego kłopotu. A poza tym... chciałam przyjechać. - Odpowiedź przyszła jej łatwiej, niż się mogła spodziewać.

- Wiesz, Louise twierdzi, że ty i ja... Że mamy romans. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

Andrea zaniemówiła. Nie, to musiała być jakaś bezsensowna plotka, która nie dotarła wcześniej do jej uszu.

- Nie rozumiem, dlaczego tak powiedziała. Przecież to nieprawda.

- Ależ prawda, kochanie. Czujemy coś do siebie, czujemy bardzo mocno, chociaż nie potrafimy jeszcze dokładnie określić, co to jest.

- Samie Farleyu, masz wybujałą wyobraźnię. Nic między nami nie zaszło.

- Nic? - Z satysfakcją obserwował, jak Andrea unika jego spojrzenia. Rumieniec na jej twarzy wyrażał wszystko.

- Na podstawie jednego pocałunku nie można wysnuwać tak poważnych wniosków. Jesteśmy tylko przyjaciółmi, znajomymi - poprawiła.

- Tylko przyjaciółmi? Mów za siebie, poruczniku Fleming. - Powoli wypowiadał te słowa. - Jeśli chodzi o mój punkt widzenia, sądzę, że przyszły burmistrz ma powód do zmartwienia. Poza tym pocałowałem cię już dwa razy.

Odegnęła od swojej twarzy chmurę komarów i poprą-

wiała włosy, które wyplotły się z warkocza. Kiedy jej palce natrafiły na rękę Sama, podskoczyła.

- Ed wyobrażał sobie może zbyt wiele - stwierdziła - ale mogłam trafić znacznie gorzej. Jest uczciwy, godny zaufania i oferuje mi bezpieczną przyszłość. W Arkadii takie cechy wysoko się ceni.

- Nie mam wpływu na twoją przyszłość. - Ujął jej dłoń. - Nie wiem nawet, jak potoczy się moja, ale jeśli oczekujesz szczerości i uczciwości, to posłuchaj. Pragnę się z tobą kochać. Myślę, że ty pragniesz tego samego.

- Pragniesz się ze mną kochać? - Nie wierzyła własnym uszom. - Jak możesz mówić coś takiego?

- Ty również tego pragniesz, kochanie. Dziś wieczorem, jutro czy kiedykolwiek. Jako przyjaciele czy jako ktoś więcej, nie wiem, ale musimy, Andreo. Zostaliśmy porażeni i nie ma na to rady. Korzystajmy z tego, póki to trwa.

- Póki trwa? O nie, nic z tego. Nie pozwolę, aby mi się to jeszcze raz przydarzyło. - Już chciała wybiec z werandy, ale Sam silną ręką przytrzymał ją i przyciągnął z powrotem.

- Chcesz, żebym zaakceptował uczciwość mieszkańców Arkadii, ale sama nie możesz zaakceptować prostej prawdy. Cała ta mowa o zaufaniu jest wspaniała, póki nie wymaga czegoś konkretnego od nas samych, czyż nie?

- Sam, jest coś, czego nie rozumiesz.

- Kto cię tak zranił, że musiałaś ukryć się w tej swojej króliczej norze i zasłonić wyjście całym miastem?

- Nie ma większego znaczenia, kto - wykrztusiła. - Wystarczy, jeśli powiem, że był włóczęgą, jak ty. Nawet córka farmera uczy się prędkiej czy później.

Odwrócił dłoń Andrei i złożył delikatny pocałunek na gładkiej skórze.

- Moja matka tak robiła - wyszeptał. - Mówiła: „Po-

zwól mi pocałować i przynieść ci ukojenie". Może moglibyśmy sobie pomóc nawzajem.

- Jak moglibyśmy przynieść sobie ukojenie, Sam? Jesteśmy tak różni. Ty...

- Potrzebuję czasami, aby ktoś mnie przytulił. Pocałuj mnie, Andreo, ukochana...

Uratował ją warkot ciężarówki Otisa, która z trudem wspinała się w górę alei. Potem rzuciło ją w lewo, w prawo i nagle zaczęła jechać szybko, w sposób nie kontrolowany, wprost na róg domu.

- Uwaga! - krzyknął Sam, podrywając się na równe nogi. - Zaraz uderzy w dom.

Dokładnie w momencie, kiedy zdążyli zbiec z werandy, ciężarówka Otisa uderzyła z hukiem w narożnik domu. Oderwany fragment dachu spadł na ciężarówkę i pogrzebał ją w gruzach. Okazało się, że wylądowała tuż przy łóżku Sama.

Sam podniósł się i rozejrzał dokoła. Andrea ze zdumieniem patrzyła na dokonane zniszczenie. Dom Mamie zniósł ogień, piorun i trzy pokolenia mieszkańców. A jednak w tej jednej krótkiej chwili Otis zniszczył całą sypialną część.

Ból, który odczuwał Sam, był niemal fizyczny. Dom jego babki, marzenie matki, jego własny dom... zraniony.

Wśród ciszy słyszeli tylko monotony głos, powtarzający bez przerwy:

- Sam, Sam, Sam, utkwiliśmy tu.

- My? - Natychmiast wzięli się do pracy. Odwalili gruz i dokopali się do ciężarówki. W środku był Otis Parker, cały i zdrowy. Patrzył prosto przed siebie, jak gdyby oglądał film w kinie dla zmotoryzowanych.

- Idioto! - warknął Buck siedzący obok.

- Nic wam nie jest? - zaniepokoiła się Andrea, przyglądając się uważnie ojcu.

- Mam nadzieję. - Otis rozejrzał się dokoła ze stoickim spokojem. - Oj, trochę tu narozrabialiśmy, prawda? Sam odblokował drzwi i wyciągnął Otisa ze środka.

- Co się stało?

Andrea obserwowała ojca. Z wykrzywioną twarzą próbował przesunąć się na drugie siedzenie, trzymając przed sobą nogę w gipsie.

- No cóż, musiałem wycisnąć maksimum z tego grata, aby podjechać pod górę, a potem już tak się rozpedził, że nie sposób go było zatrzymać. Wszystko z tobą w porządku, Buck?

- W porządku, idioto. Martw się raczej o dom Sama. Do diabła, dlaczego nie stanąłeś?

- Och, próbowałem. Hamulce są do niczego.

- Myślałam, że w zeszłym tygodniu przywiozłeś części zamienne. - Wciąż nie była pewna, czy z Buckiem rzeczywiście wszystko w porządku. Jak dotąd, nie próbował wstać.

- Owszem. Przywiozłem, są z tyłu. Miałem zamiar je zmienić, tylko jakoś... Sam, chyba nie chcesz, aby mnie aresztowano?

Minęła prawie godzina, zanim udało im się wypchnąć ciężarówkę z domu i dokładnie zbadać uszkodzenie. Wyglądało na to, że remont pochłonie resztę pieniędzy Sama. O zapłaceniu zaległych podatków nie mogło już być mowy. Poza tym to i tak szalone marzenie. Teraz i ono prysło. W końcu Andrea przekonała Bucka, by Sam odwiózł go do domu.

Kłócił się przez całą drogę, ale kiedy dotarli na miejsce, zauważyła ze zdziwieniem, że Buck bez problemu pozwolił Samowi odprowadzić się do sypialni. Nie poszła za nimi. Przebrała się w białe szorty i wypłowiła bluzkę.

Kiedy Sam zamknął drzwi sypialni i wyszedł na werandę, Andrea zapytała z niepokojem:

- Czy aby na pewno nic mu nie jest?

- Myślę, że nie. Po prostu przeżył mały wstrząs.

Usiadł obok niej na schodach i zaczął wpatrywać się w kukurydziane pole za podwórzem. Nie drżał nawet jeden liść. Charakterystyczny dla późnego popołudnia nieprzyjemny upał oblepiał dom i podwórze jak folia blokująca zupełnie dopływ świeżego powietrza. Sam usiłował nie zauważać długich, szczupłych nóg Andrei, nóg, które wywoływały w jego wyobraźni żar zupełnie inny, bardziej niepokojący.

Tuż obok werandy, pośród pokrytych słomą grządek, rosły żółtopomarańczowe kwiaty. Sam rozpoznał je bez trudu. Mieszkał kiedyś z matką w wynajętym domu, gdzie poprzedni lokatorzy zostawili wielką donicę pełną tych kwiatów. Matka nazywała je żartobliwie złotymi dukatami, wesołymi, złotymi dukatami. Wypowiedział nazwę na głos.

- Tak - potwierdziła Andrea. - Moja matka hodowała je zaraz po ślubie. Potem stały się już częścią tradycji rodzinnej, więc rosną tu do dzisiaj. Kiedy na nie patrzę, wyobrażam sobie mamę.

- Co się z nią stało?

- Odeszła. Kiedy miałam dwa lata, pewnego dnia po prostu się spakowała i odeszła.

- Nie rozumiem tego. Moja matka nigdy mnie nie opuściła, nawet wtedy, gdy sytuacja wydawała się beznadziejna. Chociaż może włóczenie się od jednego zabitego dechami miasteczka do drugiego nie jest w sumie takie złe. - Wstał i wyszedł na podwórze.

Andrea również powstała, spojrzała za siebie na dom.

- Ty i twoja matka, Buck i ja. Śmieszne, prawda? Jak dziwnie się wszystko układa.

Powoli wspięli się na zarośnięte jabłoniemi wzgórze.

Zmartwienia spowodowane kolejnym wypadkiem Bucka, rozmową o matce i wspomnienie Dawida nałożyły się na siebie w umyśle Andrei, tworząc coś w rodzaju re-

akcji łańcuchowej. Dziewczyna była bliska płaczu. Czuli, jak łzy napływają jej do oczu, i jednocześnie cieszyła się, że Sam nie mógł ich dostrzec w słabnącym świetle późnego popołudnia.

Powiał lekki wiatr, słońce skryło się za kępą wysokich sosen, a cień, rzucany przez olbrzymie konary starego drzewa, dawał przyjemny chłód. Małe zielone owoce wisiały pośród gałęzi. Chór żab i świerszczy wypełniał ciszę.

- Andrea?

Staął za nią. Czuli jego obecność, jak gdyby byli spleceni z sobą niewidzialną liną. Dotknął jej ramienia.

- Przepraszam. To, co dla mnie jest miłym wspomnieniem, w twoich myślach przywołuje przykre obrazy.

- To nie moja wina, Sam. Mam swoje słabe punkty. Na ogół nikomu o tym nie mówię.

Odwrócił dziewczynę do siebie i szorstkimi palcami uniósł jej podbródek. - Wciąż masz Bucka. Ja nie mam nikogo. A teraz jeszcze to uszkodzenie domu.

- Wiem, Sam. Przepraszam.

- Andreo, kochana, proszę. Pozwól mi wziąć cię w ramiona.

- Tak. - Poddała się jego objęciom i przyłgnęła mocno. Przez dłuższy czas trzymał ją tak, pieszcząc dłonią jej plecy i ramię. Nie całował, tylko nosem dotykał policzka i szeptał do ucha czułe słowa. Potrzebował bliskości Andrei i ona to rozumiała. W nagłym olśnieniu uświadomiła sobie, że pragnie tego mężczyzny.

- To wydaje się słuszne - powiedział przytłumionym głosem. - To, że jesteśmy tak blisko. Nie chcę jednak cię zranić.

- A więc nie rań - wyszeptała, czując, że chwieją się pod nią nogi.

Sam delikatnie pociągnął ją na dół. Klęczeli teraz naprzeciw siebie. Andrea znowu czuła ów przejmujący

dreszcz emocji i podniecenia. Oboje przejmował podobny dreszcz.

Dłoń Sama powędrowała z jej ramienia ku szyi i delikatnie dotknęła nabrzmiąłych piersi. Potem wśliznęła się pod bluzkę. Wiódł spojrzeniem za swoimi palcami. Jej rozpalone piersi zdawały się wyrywać z krępującej bielizny.

Umilkli. Andrea zrozumiała, że przez ostatnie dni walczyła z własnymi pragnieniami. Wmawiała sobie, że przybycie Sama było tylko bolesnym przywołaniem wspomnień związanych z Dawidem. Jednak to nie Dawid zaprzętał jej umysł. Została zmuszona do krytycznego spojrzenia na swoje życie, które dotąd było ciągłą ucieczką. Sam nieustannie wędrował, ona pozostawała wciąż w tym samym miejscu, ale motywy ich postępowania były takie same. Oboje chcieli czuć się bezpiecznie.

Drżała z podniecenia. Każdy kolejny dotyk wzmagał to uczucie. Sam podniósł oczy i Andrea dostrzegła w nich gorącą prośbę. Pocałował ją w usta. Nie mogła dłużej wstrzymać krzyku rozkoszy. Wtuloną w swoje ciało poprowadził do zarośniętego gęstą trawą zakątka pod drzewami. Pocałunek, którym go w zamian obdarzyła, mógł zastąpić Samowi wszystko.

Obracając się wciągnął Andreeę na siebie i mocno przytulił. Jego język domagał się jeszcze więcej niż dłonie. Wreszcie podniósł ją do góry w taki sposób, aby móc bez trudu dosięgnąć piersi. Wygięta w łuk, powierzyła mu swoje ciało. Pragnęła czuć na sobie jego pocałunki, tutaj, nie w łóżku, jak to sobie wyobrażała podczas bezsennych nocy.

- Andy! Jesteś tam? - zawołał z podwórza Ed Pinyon.

- Do diabła! - Sam przetoczył się na bok, zepchnął Andreeę, poderwał się na równe nogi i pobiegł naprzeciw Eda.

Andrea wstrzymała oddech i leżała rozczarowana, póki nie uświadomiła sobie, co zrobił Sam. Bez wątplenia był

równie rozpalony jak ona, jednak zachował przytomność umysłu i wyszedł do Pinyona, dając jej tym samym cenne chwile na doprowadzenie się do porządku.

Usiadła, zapieła stanik. „Bądź przeklęty, że włączysz się za mną, Edzie Pinyonie - pomyślała, a potem: - Bądź przeklęty i jednocześnie dziękuję”. Wiedziała, że postępuje jak szalona, ale przez moment pragnęła, aby jej wybawca się spóźnił.

Przetarła oczy. Każdy poznałby, że coś tu było nie tak. Miała więc tylko nadzieję, że uda jej się przekonać Eda, iż płakała.

- Andreo, przyjechałem od razu, gdy usłyszałem, co się stało. - Dotknął jej dłoni. - Nic ci nie jest?

- Sądzę, że nie, Ed. Dziękuję.

Objął ją czule, nie zważając na obecność Sama.

- Powinnaś była do mnie zadzwonić. Co on tu robi?

- Pomógł mi odwieźć Bucka do domu.

- Wiedziałem, że ten człowiek przyniesie tylko kłopoty. Nie chcę, abyś się z nim zadawała.

- Zaraz, chwileczkę, przecież to nie wina Sama. To Otis uderzył ciężarówką w jego dom. - Na próżno próbowała uwolnić się z objęć przyjaciela.

Oczywiście, że jego. Jest obcy. Musi być albo kryminalistą, albo miernym artystą. Akceptowałem twój mały wybryk do momentu, gdy to się stało. Teraz jednak żądam, abyś z tym skończyła. To wszystko przestaje być zabawne.

- Puść mnie, Ed. - Była zdumiona. Nie sądziła, że Ed wciąż tkwił w przekonaniu, iż ma tak silną władzę nad nią.

- Puść ją, Pinyon - powiedział cicho Sam. - Natychmiast.

Nastąpiła chwila wahania. Andrea czuła ukryty gniew w uścisku Eda i widziała w jego oczach prawdziwą wściekłość. Nikt dotąd nie wszedł w zatarg z Edem Pinyonem, nikt nie miał powodu. Wiedziała, że zmuszenie

go w tej sytuacji do ustąpienia równało się według niego z niewybaczalną zniewagą.

W końcu opuścił rękę i rzucił Samowi wymowne spojrzenie.

- W porządku, być może nazbyt daję się ponieść nerwom. Przypuszczam, że powinienem ci podziękować za odwiezienie Andrei i Bucka do domu, Farley. - Ton, jakim wypowiedział te słowa, zdawał się znacznie odbiegać od ich treści.

Andrea minęła Eda i zaczęła iść w kierunku domu. Obaj poszli za nią.

- Kiepska sprawa z tym domem Mamie - kontynuował Ed. - Chociaż właściwie to bez znaczenia, bo i tak zamierzam go zburzyć.

Sam stanął jak wryty.

- Zburzyć?

Usłyszała w jego głosie bolesne niedowierzenie i zrozumiała swój błąd. Powinna była go ostrzec, przygotować.

- Oczywiście. Andrea nie mówiła ci? Zdobędom Mamie na aukcji. Któż inny by go chciał?

Sam przeszedł obok Eda i stanął na wprost dziewczyny, wciąż nie wierząc w to, co usłyszał.

- Wiedziałaś o tym?

- Cóż, tak, ale... - Poczowała, że zamiera w niej serce.

Wyraz twarzy Sama mówił wszystko.

Ed uśmiechnął się i znacząco pokręcił głową. Sam dłużej nie wytrzymał; odwrócił się i zaczął zbiegać ze wzgórza. Pobiegnęła za nim.

- Poczekaj, Sam! Wiedziałałam, że zamierza przerobić dom Mamie na magazyn, ale to było, zanim ty... Zanim ja... Mówiłeś, że wkrótce odejdziesz, więc myślałam, że to dla ciebie bez znaczenia.

Zatrzymał się.

- To ma znaczenie.

Po chwili Sama już nie było, rozplynął się jak duch
wśród cieni późnego popołudnia.
Andrea wiedziała, że go zraniła.
A to miało znaczenie, to miało bardzo duże znaczenie.

RS

Rozdział szósty

Zamknęła księgę rachunkową, odsunęła krzesło od biurka i oparła nogi o szafkę. Miasto było zbyt spokojne. Od Sama nie miała żadnej wiadomości od czasu wypadku, czyli od ponad tygodnia. Nie mogła również liczyć na towarzystwo Eda Pinyona, zwłaszcza po tym, co mu powiedziała.

Być może Sam unikał jej. Andrea nie wiedziała, jak powinna się teraz wobec niego zachować. Dom Mamie stał się dla Sama swego rodzaju symbolem - symbolem jego przeszłości i przyszłości. Nie powiedziała mu o planach Eda, ponieważ była przekonana, że i tak wkrótce opuści miasto. Nie chciała psuć mu wspomnień związanych z domem babki. Nie myślała, że to kłamstwo, przecież nie zataiła niczego celowo, po prostu uznała sprawę za nieistotną. On jednak czuł się oszukany. Jego milczenie nie wróżyło nic dobrego.

Przez ostatni tydzień Buck dosyć często wpadał do komisariatu, ale pozostawił właściwie wszystkie obowiązki córce. O nic nie wypytywał i nawet słowem nie wspominał o Farleyu.

Skończyła wszystkie prace biurowe, podlała rośliny, a nawet wysprzątała areszt. Nie pomalowała jedynie budynku. Bez wątplenia zabrałaby się i za to, gdyby nie obawa o mundur.

Powachlowała się papierami i przymknęła oczy ze zmęczenia. Termometr wskazywał ponad czterdzieści stopni w cieniu. Była zagubiona i zaniepokojona. Nie chciała przyznać, że to Sam stał się przyczyną jej goryczy.

Sprawy posuwały się w takim tempie, że gdyby nawet poplamiała mundur przy malowaniu, nie miałoby to teraz większego znaczenia. Przez cały tydzień otrzymała tylko dwa służbowe telefony. Pierwszy dotyczył skradzionego sprzętu. Policja odkryła, że złodzieje sprzedają go do Ameryki Południowej. Drugi zawiadamiał o zgorszeniu, jakie wywołało wśród niektórych mieszkańców Arkadii pojawienie się na ulicy Brada Dixona, którego żona wyrzuciła bez spodni z domu.

- Dostaję fioła - powiedziała Andrea, gdy Madge zadzwoniła, by spytać, czy widziała się z Edem. -Ed to miły facet, ale między nami nic nie było. Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby tak za mną szalał. Myślę, że stanowiłam tylko część planu, który miał mu zapewnić sukces. Sama wiesz, jakie to dla niego ważne.

- No tak, ale kto chce miłego faceta? Daj mi faceta jak ten twój obcy, a sprawisz mi prawdziwą przyjemność - stwierdziła Madge. - Uwielbiam typy spod ciemnej gwiazdy.

W porze lunchu Andrea zadzwoniła wreszcie do Agnes, aby zapytać, gdzie się wszyscy podziewali.

- Brad, Otis i Buck pomagają Samowi w reperacji jego domu - brzmiała odpowiedź. „Jego domu”, a nie „Mamie”. Zauważyła zmianę właściciela. Zauważyła również pewną oschłość w głosie Agnes, co tylko pogłębiło jej smutek.

- Połączę cię z Samem - oznajmiła telefonistka. Minęła dłuższa chwila, zanim Andrea zrozumiała słowa przyjaciółki.

- Sam ma telefon?

- Pewnie. Dostał w zeszłym tygodniu. Potrzebował go

do zorganizowania prac przy domu. Przed chwilą dzwonił do działu zamówień sklepu żelaznego. Prawdopodobnie jest jeszcze przy telefonie.

Zanim Andrea zdążyła odmówić, w słuchawce odezwał się znajomy głos.

- Sam Farley, słucham.

- Och, Sam. Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Nie chciałam cię zranić.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Może powinniśmy o tym porozmawiać, kochanie. Nie przyszłabyś tutaj dziś wieczorem?

- Dziś wieczorem? - Nie mogła ukryć drżenia głosu. - Nie wiem, Sam. To nie jest... Ja nie... To znaczy wiesz, że się zgadzam. Już...

- Już minęło siedem dni, odkąd się nie widzieliśmy, Andreo. Dla mnie o sześć i pół za dużo. Przyjdę do miasta, jeśli wolisz.

- Ach, nie. Myślę, że po prostu wpadnę zobaczyć, jak się posuwają prace.

„Jadę tylko po to” - obiecywała sobie, odkładając słuchawkę. A więc odnawiał dom, zaczęto go akceptować w Arkadii, znalazł przyjaciół. Co to miało oznaczać? Zdawała sobie sprawę, że jej rana będzie przez to boleśniejsza, kiedy Sam odejdzie.

Czemu więc jechała teraz do niego?

Buck siedział na krześle pod śliwą i doglądał robót. Otis i Brad Dixon przybijali deski boazerii do nowych ścian. Świeża warstwa farby pokrywała cały dom. Sam stał wyprostowany i badał zardzewiałą blachę.

Włosy miał teraz dłuższe. Spięte w kucyk opadały wilgotnymi kosmykami na plecy. Nie golona broda upodobała go do członka gangu motocyklistów. Na czole związał czerwoną chustę.

Kiedy Andrea wysiadała z wozu, zobaczyła, że Sam

schyla się po skórzany fartuch. Z zachwytem obserwowała jego opalone ciało.

Szkoda, że w ogóle miał coś na sobie. Na myśl o tym Andrea czuła żar, który z pewnością nie był spowodowany słońcem. Jeszcze przez chwilę przypatrywała mu się z przyjemnością, aż wreszcie Sam natrafił na jej spojrzenie.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Włożył dłonie za pas i czekał. W pewnym momencie chciała wrócić do wozu i jak najprędzej odjechać.

- Witam, kochanie. Co o tym sądzisz?

Już się nie gniewał. Była tego pewna.

Prace szybko się posuwają - odpowiedziała ze spokojem, świadoma tego, że wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku.

- Cóż, Andy - odezwał się Buck. - Sporo czasu zajęło ci dotarcie tutaj.

- Ja... po prostu jechałam do domu na lunch i postanowiłam wpaść tu na chwilę. Dom wygląda dobrze.

- Sam świetnie zna się na robocie. Poza tym pracuje z prawdziwym zapalem.

- Widzę, że zmieniłeś o nim opinię.

- Tak. No cóż, z początku myślałem, że nie będzie do nas pasował. Ale, prawdę mówiąc, zauważyłem, jak odżyłaś od czasu, kiedy tutaj przybył. Miałem nadzieję, że Ed zajmie miejsce przy twoim boku, ale to nie miało sensu. Kiedy zobaczyłem, jak się układają sprawy między tobą i Samem, postanowiłem dać chłopakowi szansę.

- Nie, Buck, ty... Buck, mylisz się - zaczęła mówić, ale zmieniła zdanie. Umilkła. Skłamała kiedyś w sprawie Dawida i przyrzekła sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi. - Chciałabym, żeby to był Ed - przyznała -w końcu. - Wszystko byłoby o wiele mniej skomplikowane.

- Miłość nigdy nie jest łatwa, Andy. Przynosi bolesne chwile. Ale póki trwa, warta jest poświęceń.

- Póki trwa. - To samo powiedział Sam. Andrea żary-

zykowała raz jeszcze i spojrzała na dach. Sam stał na krawędzi, kołysząc się lekko na palcach, jak gdyby czekał, aż go poprosi, by zszedł.

- Jak myślisz, Buck? - przemówił Otis. - Będziemy chyba potrzebowali więcej farby, żeby wziąć się do dalszej pracy. W związku z wieczornym spotkaniem mogliśmy już na dzisiaj skończyć.

Buck popatrzył na Otisa, po czym przeniósł wzrok na córkę.

- Poradzisz sobie tutaj, Andy?

- Pewnie nie, ale spróbuję.

Teraz Buck spojrzał na Sama.

- Obawiam się, że wciąż jestem przede wszystkim ojcem. Powiedziałem ci kiedyś, że Sam trochę przypomina mnie samego. Był taki okres po odejściu twojej matki, kiedy również chciałem wyruszyć w daleką drogę. Nie zrobiłem tego tylko dlatego, że miałem ciebie. Zostałem i myślę, że Sam też zamierza zostać, chociaż nie w pełni jeszcze to sobie uświadomił. Nie pozwól, aby cię skrzywdził, Andy.

- Boję się, że może już być za późno, Buck.

- Prawdopodobnie przyjedziemy potem z farbą.

Dawał jej tym samym do zrozumienia, że mogła zostać teraz z Samem, ale że przyjedzie później. Skinęła z wdzięcznością głową.

Po odjeździe Bucka i Otisa stanęła na werandzie. Nadszedł czas konfrontacji z Samem i zakończenia całej tej sprawy. Mógł bawić się w swoje małe gierki, gdzie tylko chciał, ale dla niej było to coś zupełnie nowego. Uczciwość jednak wymagała przyznania czegoś: jej matka i Dawid składali wspaniałe obietnice, których nie dotrzymani. Sam tego nie robił.

Spotkał ją w holu. Jego wilgotne dzinsy ściśle przywierały do ciała.

- Tęskniłam za tobą, Sam. Myślałam, że się na mnie gniewasz.

- Tak było, zanim nie zrozumiałem, dlaczego nie powiedziałaś mi o planach Eda. Wiesz, co znaczyłoby dla mnie zburzenie domu. Nikomu na całej sprawie szczególnie nie zależało, z wyjątkiem mojej matki. Ja w każdym razie opamiętałem się.

Andrea nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zrobiła błąd, ale to Sam ją przeproszał. Była tak oszołomiona, że nie odezwała się słowem. W końcu przyznała się przed sobą do pragnienia, odpowiadając tym niemo na pytanie w oczach Sama. Pocałował ją, oparł się o ścianę i mocno przytulił Andreeę.

- O tak, ja też tęskniłem za tobą jak wariat. Tęskniłem do twoich nauczycielskich upomnień, twoich szalonych oczu, kiedy cię całuję, i drżenia, kiedy dotykam twoich piersi. Nigdy w życiu nie pragnąłem kobiety tak bardzo i za każdym razem, kiedy widzę cię w tym męskim mundurze, moje pragnienie rośnie - mówił, odpinając guziki jej koszuli.

- Wiem - wyszeptała. - Zamieniłeś mnie w jakąś dziwną istotę, która na nic nie zważa. Ja również cię pragnę.

- Nie, poczekaj. Nie tutaj. Nie chciałbym, byśmy mieli widzów.

- Bez obawy - odpowiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Buck i Otis zakończyli już na dzisiaj pracę.

- Czy to znaczy, że będziemy zupełnie sami?

- Przynajmniej przez jakiś czas. Później mają przywieźć farbę.

Westchnął i sięgnął do zapięcia stanika.

- Poczekaj, Sam. Mam lepszy pomysł. Czy masz w domu koc?

- Oczywiście.

- Weź go i chodź ze mną. - Przycisnęła do ciała rozpiętą koszulę i wyszła na werandę.

Sam zniknął w domu i po chwili z kocem pod ręką dogonił ją. Kiedy minęli śliwę, ujął dłoń dziewczyny i namiętnie pocałował Andreę w usta. Ona zaś zerwała chustę z jego czoła i zanurzyła palce w gorących, wilgotnych włosach kochanka.

- Jeszcze nie. - Cofnęła się, tracąc oddech. - Jeszcze tam nie doszliśmy.

- Mam nadzieję, że to już niedaleko. W przeciwnym razie nigdy nie uda nam się tego zrobić.

Minęli szopę i doszli do gęstej kępy sosnowych drzew, które całkowicie odcinały ich od reszty świata.

- Tutaj? - zapytał, ponownie przyciskając ją do swojego ciała.

Pośród ciszy słychać było jedynie szelest liści i szmer strumienia. Poczula zawrót głowy.

- Nie. - Zaczęła biec. - Jeszcze tylko kilka kroków do... - Minęła rząd cedrów i stanęła. - To tutaj - stwierdziła w końcu z dumą, czekając, aż Sam podejdzie i władnie razem z nią tym sekretnym zakątkiem.

Pośrodku zagajnika z wydrążonej w kamieniu dziury tryskała woda. Kryształowe krople tańczyły w powietrzu, iskrząc się słonecznym blaskiem. Dalej woda spływała po płaskim bloku skalnym zarośniętym mchem i wiła się wśród krzewów.

Sam spojrzął zmieszany najpierw na strumień, potem na Andreę. Ona również poczuła się onieśmielona. Rozłożył koc na ziemi usłanej sosnowymi gałęziami; zaczął rozwiązywać buty i zdejmować skarpetki.

Nie było już odwrotu, wiedziała o tym. Podczas trzech ostatnich tygodni, za każdym razem, kiedy zamknęła oczy, widziała go przed sobą zupełnie nagiego, spragnionego miłości. Od czasów Dawida nie było w jej życiu żadnego mężczyzny. Czekala, wsłuchując się w szmer wody. W końcu zamknęła oczy, pragnąc, by Sam ją pocałował.

- Chodź do mnie, kochanie.

Stał przed nią zupełnie nagi, tak jak sobie wyobrażała. Jego delikatny uśmiech zdawał się mówić, że rozumie jej wahanie.

- Jeśli ma ci to pomóc, przyznam, że czuję się jak siedemnastoletni chłopak, który martwi się, czy sprosta swojemu zadaniu.

Słodkie pocałunki rozpały jej usta, wprawiając ciało w drżenie. Piersi Andrei stwardniały. Sam pomógł jej się rozebrać.

Andrea spodziewała się wybuchu namiętności, który porwałby ich na wspólnej fali, a tymczasem pieszczoty tego mężczyzny były spokojne i delikatne; pozbawiły ją wszelkich zahamowań. Skóra jego dłoni tarła jak szorstki papier jej piersi. Dziewczyna czuła, że roztapia się w ogniu miłości.

Przyciągnął ją do siebie, wstrzymując na chwilę oddech. Usłyszała przyspieszone bicie swojego serca, którego rytm harmonizował z nerwowym lotem trzmiela jak gdyby oszołomionego tym, co zobaczył. Kochanków otaczał słodki i ulotny zapach rosnących dokoła krzewów i Andrea pomyślała, że jeszcze nigdy nie czuła tak silnego zjednoczenia z ziemią.

Wtedy wypełnił jej ciało. Powoli dokonywał się między nimi cud spełnienia. Narastający rytm doprowadził ich w końcu do szczytu ekstazy i wówczas usłyszała, że Sam bez przerwy powtarza jej imię i... coś jeszcze.

- Andrea, moja miłość, moja miłość, moja miłość...

Kiedy powrócili na ziemię, odwrócił ją do siebie i stał z czoła krople potu. W jego oczach malowało się zdumienie, ale głos był ciepły i leniwy. Oddech Sama pieścił jej twarz.

- Kochałem się w życiu z kilkoma kobietami, ale to było coś szczególnego. Wzięłaś ode mnie wszystko, co miałem do zaoferowania, i jeszcze to zwielokrotniłaś.

Wycisnęłaś ze mnie całą energię jak wodę z mokrej ściereki, kobieto. - Przepraszam - dodał po chwili milczenia. - Obawiam się, że nie zabrzmiało to zbyt elegancko. Nie chciałem być nietaktowny. Po prostu nie wiem, jak mówić kobiecie o miłości; nigdy przedtem tego nie robiłem. Dotknął palcem jej ust, pochylił się i zaczął pokrywać je pocałunkami.

- Andreo, chciałbym coś wiedzieć. Głupio mi o to pytać, ale czy to dobrze, że się teraz kochaliśmy?

- Masz rację - odpowiedziała cicho. - Jest trochę późno. Ale przyznasz, że było nam naprawdę dobrze.

- Nie, chodziło mi o to, czy ty... Czy to było bezpieczne? Nigdy się takimi sprawami nie przejmowałem. Zawsze uważałem, że kobieta wie, co robi. Ale ty... Ty jesteś inna. Nie chciałbym...

- Nie chciałbyś zostawić mnie z dzieckiem, tak?

- Och, moja cudowna kobieto z burzy - wyszeptał. - Niczego bym tak nie pragnął jak tego, aby obdarzyć cię dzieckiem. Dobrze jednak wiem, co to znaczy nie mieć ojca.

- A ja wiem, co znaczy nie mieć matki, Sam - odparła ze ściśniętym gardłem. - Nie bój się, byłam zabezpieczona, chociaż zupełnie nie wiem, dlaczego. Jesteś pierwszym mężczyzną, z którym... - chciała powiedzieć „kochalam się”, ale w porę się powstrzymała i dokończyła: - spałam od dłuższego czasu.

- Dziękuję, że mi to powiedziałaś. - Pocałował ją. - Jesteś słona - dodał. - I zbyt cicha. Nie wiem, jak powinienem się teraz zachować.

Wciąż okrywał ją swoim ciałem. Był niesamowity; był najbardziej zmysłowym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. I właśnie ten mężczyzna przed chwilą się z nią kochał, tak jak wcześniej obiecał. I nagle Andrea zaakceptowała prawdę. Pragnęła tego, co się stało, równie mocno jak Sam.

- Mogłam zrobić wiele różnych rzeczy, Sam - powiedziała żartobliwym tonem. - Ale na pewno nie wycisnęłam z ciebie całej energii.

- Ach, zauważyłaś.

Wszystko wydawało jej się tak niezwykle i zupełnie nowe. Oddała się obcemu o dzikim wyglądzie, który wtargnął do jej miasta i do jej umysłu.

Upajała się jego dotykiem do chwili, kiedy pokropił jej piersi lodowatą wodą ze źródła.

- Ajjj! - krzyknęła i odskoczyła jak najdalej, zgadując, co jej grozi. Spojrzała na wodę, potem na Sama. Zamierzał to zrobić, więc równie dobrze mogła go wyprzedzić. Nabrała w płuca powietrza i robiąc unik, wskoczyła do wody. Głośny plusk za jej plecami świadczył, że Sam jest już obok. Wynurzyła głowę; miała wrażenie, że przyszywają ją lodowe kolce.

- Nieźle! Mając coś takiego, zupełnie nie potrzebuję lodówki. - Potrząsnął głową, rozpryskując krople wody.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że to roztopiony lód?

- Czysta artezyjska woda. Miasto korzysta z drugiego takiego źródła, które znajduje się bardziej na południe. Najczystsza woda pitna na całym Południu. Spróbuj. - Poruszała się, by przyzwyczaić ciało do niskiej temperatury. Planowała kolejny skok, gdy Sam wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie.

Spojrzała na powierzchnię krystalicznie czystej wody, gdzie falowało ich odbicie. Skóra Sama w miejscach blizn była równie blada jak jego stopy. Andrea przesunęła palcem po jego biodrach wzdłuż linii, gdzie kończyła się opalenizna. Podobny, jaśniejszy odcień skóry miała i ona.

- Spójrz, pasujemy do siebie. Niestety, tracę opaleniznę. Zbyt dużo czasu spędzam w zamkniętym pomieszczeniu.

- Pasujemy do siebie jeszcze w innym miejscu. - Wsunął kolano pomiędzy jej nogi i ostrożnie przycisnął.

Ciało Andrei odpowiedziało lekkim drzeniem.

- Policjantka zawsze zdobywa swojego mężczyznę, ale przypuszczam, że ta zimna woda mogłaby trochę ochłodzić nasze zapały.

- No, nie wiem. Słyszałem, że południowa Georgia to bardzo gorące miejsce, poruczniku Fleming.

- Porucznik Fleming! O rety, Sam. Przed opuszczeniem wozu nie połączyłam się z Agnes. To było przynajmniej godzinę temu.

- Odpreż się. Zdążyłem porozmawiać z Agnes zaraz po zejściu z dachu.

- A jeśli ktoś mnie potrzebował?

- Ktoś na pewno - powiedział powoli, przyciągając ją do siebie. - I ten ktoś nadal cię potrzebuje.

Rzeczywistość jednak zwyciężyła i czar prysł. Wcześniej Andrea pozwoliła sobie na to, aby zapomnieć o wszystkim i o wszystkich z wyjątkiem tego cygana o ciemnych oczach. Wtedy naprawdę pragnęła zapomnienia. Teraz już nie. A jeśli Buck wrócił?

- Puść mnie, Sam. - Energicznie wyszła z wody. Żar słońca uderzył w jej ciało jak młot, nie potrzebowała więc ręcznika.

Zanim Sam zdążył się zabrać do włożenia butów, biegła już pomiędzy drzewami w kierunku domu. Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła: oddała się Samowi w środku dnia, zaniedbując swoje obowiązki.

- Przyjemną miałaś kąpiel?- Buck stał przy wozie patrolowym i patrzył z nieco zachmurzonym czołem na córkę.

Andrea wzięła głęboki oddech i zakłopotana podniosła wzrok.

- Przepraszam, Buck. Były jakieś telefony do mnie?

Nie widziała Brada, ale o obecności Otisa przekonało ją wkrótce jego zawzięte walenie młotkiem. Jeśli rzeczywiście przybijał gwóźdź, musiał on mierzyć co najmniej dwadzieścia centymetrów. Buck spojrzał w górę. Sam

schodził właśnie ze wzgórza. Miał przemoczone włosy, w ręku trzymał buty.

- Nie. Przypuszczam, że ty i Sam doszliście do porozumienia. Wydajesz się jednak rozdrażniona.

- Nie. To znaczy, nie wiem, Buck. Trudno mi teraz opanować emocje i wyciągnąć jakieś wnioski.

- Rozumiem. Ja również kiedyś tego doświadczyłem, Andy. Mam jedynie nadzieję, że nie potnie twojego serca na małe kawałki i nie odejdzie, pozostawiając cię w bólu. Mogłabyś mieć mniej szczęścia niż ja. Nie masz kogoś takiego, jak ja miałem. Ja miałem ciebie.

Stała przez chwilę bez ruchu, pozwalając, by słowa Bucka dotarły do niej. Odwróciła się tak, aby nie widzieć Sama, i strzepnęła kilka źdźbeł trawy ze spodni. Szybko spięła mokre włosy i poszła do wozu.

Być może Sam miał wobec niej szczerze zamiary, ale Andrea nie była pewna, czy jest w stanie znieść prawdę. Co miała robić?

Jadąc aleją, czuła na sobie wzrok kochanka. Jej życie zmieniało się zbyt prędko. To Sam Farley wtargnął do miasta i dokonał tych zmian.

Patrzył, jak Andrea odjeżdża. Po raz pierwszy czuł się niepewnie. Nie rozumiał swoich uczuć. Łączyło go z tą kobietą coś więcej niż seks. Pragnął... Pragnął, aby była przy nim na huśtawce, w jego domu i w jego łóżku. O niczym więcej nie śmiał pomyśleć.

Analizowanie własnych uczuć było u niego czymś nowym, przyznanie się do nich - czymś niebezpiecznym.

Po raz pierwszy zaczął rozumieć tęsknotę matki za Arkadią. Zrozumiał również, że nie będzie mu łatwo teraz odejść. Z drugiej jednak strony przekonał się już kiedyś, że nie pasuje do tego rodzaju miasteczek. Lecz oto stał się częścią Arkadii, a Arkadia - częścią jego.

Rozdział siódmy

O szóstej trzydzieści po południu słońce wciąż stało wysoko na niebie i paliło jak grzech. „Grzech - pomyślała Andrea, śmiejąc się cynicznie w głębi ducha. -Ilu ludzi oddaje się rozpuście za dnia, a wieczorem idzie do kościoła?”

Kościół zbudowano z czerwonej cegły. Andrea minęła kępę zielonych drzew i pchnęła drzwi do świątyni. W środku panował orzeźwiający chłód. Kochała ten bladezielony dywan, białe ściany, kolumny i balustradę chóru. Wszystko wyglądało tak jak zawsze.

Był czas, kiedy z wielką radością zrzucała z siebie krępujące łańcuchy Arkadii. Pierwszy spacer po ulicach Atlanty olśnił ją. Miała przed sobą całe życie. Nic nie mogło jej powstrzymać od pójścia za Dawidem. Zastanawiała się teraz, czy przy Samie nie odżywają dawno zapomniane emocje.

Dawid nie prosił, aby za nim pojechała. W końcu poznała, czym jest świat poza Arkadią: uwodzicielskim kłamstwem, które człowieka przyciąga i wykorzystuje. Ocknęła się więc ze snu i wróciła. Ale teraz ten zwodniczy stan podekscytowania dopadł ją w Arkadii, biorąc we władanie najpierw myśli, potem ciało. Nie miała już teraz dokąd pójść. Usiadła w ławce. Musiała wierzyć, że i to

w końcu minie. Wkrótce odejdzie ów wędrowiec i Arkadia znowu będzie taka jak dawniej.

Wyprostowała ramiona i weszła do sali katechetycznej, której szeroko otwarte drzwi zdawały się zapraszać na koncert chóru, a potem na agapę. Długonodzy chłopcy kręcili się po salach, wciąż znajdując jakieś powody, aby zagadać do dziewcząt; te reagowały na ich umizgi zalotnym śmiechem. Kiedy Andrea podeszła do pianina, cały chór zebrał się wokół i czekał na polecenia.

Rozpoczął się koncert. Wszystkie miejsca były zajęte.

Z początku intensywny rytm muzyki rockowej zaskoczył nieco publiczność, ale potem wszyscy się uspokoiili i zaczęli słuchać słów piosenek. Andrea z satysfakcją obserwowała, jak początkowe zdumienie przemienia się w akceptację i wreszcie - głośny aplauz.

Zapalono wszystkie światła; pastor wyraził swoje uznanie dla „niezwykłego” koncertu zaprezentowanego przez „naszą” młodzież. Większość osób rozpoczęła już posiłek, gdy Andrei udało się wreszcie wysłuchać wszystkich pochwał i komplementów i podejść do ostatniego wielbiiciela, który czekał cierpliwie z tyłu.

- Nie dość, że jesteś piękną kobietą, to posiadasz jeszcze wiele talentów.

- Sam! - Nie wierzyła, że to on. W kościele?! Nie mniej niż ten fakt wstrząsnął nią jego wygląd. Ani śladu po wytartych dzinsach i długich włosach. Mężczyzna, który stał przed nią w tej chwili, miał na sobie ciemnobrązowe, wyprasowane na kant spodnie, kremową koszulę z krótkimi rękawami, uwydatniającą jego szerokie ramiona, a na nogach wypolerowane buty. Twarz ogolona, włosy elegancko przystrzyżone. Śmiał się serdecznie, wyciągając do niej dłoń.

- Czy mogę dzielić z panią stolik, pani Fleming?

Madge, prowadząc za rękę wychudzonego młodzieńca, zatrzymała się nagle i z wyrzutem spojrzała na przyjaciółkę.

- Andrea! Ładne rzeczy! Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz randkę?

Próbowała coś powiedzieć, ale na próżno szukała właściwych słów.

Sam ściągnął usta i odwrócił się do Madge.

- Wcale się mnie nie spodziewała - wyjaśnił. - Jestem Sam Farley. Spotkaliśmy się w urzędzie, nieprawdaż?

- Och, pamiętam. - Madge się uśmiechnęła. - Trudno cię zapomnieć. Nie wiesz, czy przybędzie do miasta więcej takich jak ty?

Ironiczny uśmiech pojawił się na twarzy Sama, ale po chwili zniknął.

- Przypuszczam, że nie. Po prostu mam tę szczególną moc, że ludzie milkną w moim towarzystwie. Czy uważasz, że powinniśmy ją teraz nakarmić? A może postawić w kącie?

- Oczywiście, że postawić w kącie. Zostanie więcej smakołyków dla nas. - Podeszli do Andrei i chwycili ją za łokcie, jak gdyby za moment mieli podnieść dziewczynę do góry.

- Och, dajcie spokój - wykrztusiła w końcu Andrea. - Jestem zaskoczona, to wszystko. - Spojrzała dokoła. Wszystkie twarze były zwrócone w kierunku Sama Farleya. Czerwony rumieniec nie ustępował z twarzy Andrei. - Nie przestaniecie? Wszyscy na nas patrzą.

- Owszem - przyznał Sam i dotykając jej pleców, pchnął ją lekko w kierunku zastawionych stołów, jakby od lat uczestniczył w tego rodzaju spotkaniach. Uśmiechnął się od ucha do ucha i wyszeptał pod nosem: - Podoba mi się ta czerwona sukienka, kochanie. Patrząc na ciebie, robi mi się... - Resztę zdania wypowiedział pełnym głosem: - Gorąco, Madge, prawda?

- Tak, bardzo ciepło - zgodziła się, podając Samowi talerz.

- Przydałoby się trochę deszczu, nie sądzisz?

- Zdecydowanie tak. Mój ogród nie wygląda najlepiej.
- Roześmiała się, zadowolona ze wspólnej zabawy.
Madge i Sam z taką łatwością prowadzili rozmowę, wydawali się parą starych przyjaciół. Andrea milczała. Zdumiało ją, że Sam tak swobodnie rozmawia z każdym, kto podchodził do niego, aby spytać o dom. Zachowywał się, jakby znał tych ludzi od wielu lat.

Madge przyniosła Samowi drugi kawałek ciasta z jeżynami i napełniła filiżanki kawą.

- Żałuję, że nie wiedzieliśmy, jak się z tobą skontaktować wcześniej, Sam - powiedziała ze szczerym smutkiem.

- Może udałoby się jeszcze zapobiec sprzedaży domu.

- Nie wasza wina. Włóczyłem się po całych Stanach przez ostatnich dziesięć lat. Byłem nawet na Alasce. Poczta nigdy nie nadała za moim krokiem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że podróżowałaś pieszo? Nie miałaś samochodu?

- Nie. Nie stać mnie było na samochód. Ostatnio jednak myślałem o kupnie jakiejś ciężarówki. Ciesła powinien mieć ciężarówkę.

- Będziesz potrzebował aktualnego prawa jazdy - przypomniała Andrea; jej głos brzmiał bardzo oficjalnie.

- Cudownie. Jednak umie mówić. - Sam uśmiechnął się i klasnął w dłonie. - A już myślałem, że będziesz potrzebowała jakiegoś lekarstwa, na przykład kilku kropel czystej artezyjskiej wody.

Na wspomnienie artezyjskiej wody zarumieniła się. Jak śmiała przypominać jej o tym teraz, w tym miejscu? Patrzył na nią z tajemniczym uśmiechem na twarzy.

- Wybacz, Sam - powiedziała sztywno. - Nie spodziewałam się, że przyjdiesz.

- Dlaczego? Czy moja obecność nie jest tu mile widziana?

- Oczywiście, że jest - odparła Madge. Zaczęła zbierać talerze i dodała: - Nie zwracaj uwagi na tę marudę.

- Coś jej się poprzestawiało w głowie. Wszędzie pilnuje porządku.

- Madge, wydaje mi się, że rozumiem, na czym polega jej problem. Moje przyście tutaj nadaje oficjalny charakter naszemu związkowi, i to ją niepokoi.

- Nie. Przepraszam. Oczywiście, że jesteś tu mile widziany, Sam. Proszę, wybacz mi. - Zanim ktokolwiek zorientował się, o co chodzi, Andrea bocznymi drzwiami opuściła salę.

Nie rozumiała, dlaczego zachowuje się tak niezręcznie. Wrażenia nie dawały się uporządkować, sytuacja wyglądała niebezpiecznie. Nie dość, że przybył do miasta, zbliżył się do niej i omotał niewidzialną nicią, to teraz wtargnął do jej świata, i to z taką pewnością, jak gdyby stanowił jego część.

Wciągnęła głęboko powietrze, próbując uspokoić rozszalałe serce. Głupio jej było przyznać, że Sam miał rację. Po prostu objawił światu swoje intencje. Z pełną szczerością, bez żadnych fałszywych obietnic czy sprytnych kłamstw powiedział, że jej pragnie. Teraz mówił o tym całemu światu.

Jakże precyzyjnie przeprowadzał swoje posunięcia! Powoli rozpałał ją słowami i ciałem, aż wreszcie zupełnie straciła głowę i oddała mu się. Właściwie to nie jego wina. Nie zmusił jej siłą. Siła była ostatnią rzeczą, którą by się posłużył. Jej myśli krążyły wokół jednego punktu, w którym kryła się prosta prawda: ona również go pragnęła.

Z pokusą cielesną mogła sobie jakoś poradzić, ale ten męczyzna niespodziewanie zaczął się dostosowywać do społeczności Arkadii, a to było naprawdę niebezpieczne. Usłyszała za sobą kroki i wyprostowała się.

- Czy mogę cię odprowadzić do domu, poruczniku Fleming, szanowna pani?

Zrozumiała, że czekała, aż Sam wyjdzie na zewnątrz.

- Chcesz odprowadzić mnie do domu? To ponad pięć kilometrów.

- Tak. Słyszałem, że tak zachowuje się mężczyzna, który adoruje damę swojego serca, to znaczy: spaceruje z nią w świetle księżyca. Przypuszczam, że zanim dojdziemy do domu, księżyc znajdzie na niebie swoje właściwe miejsce.

Czuła się zbyt zmieszana słowami Sama, aby zaprotestować. Położył rękę na jej ramieniu. Przez jakiś czas szli w milczeniu. Na granicy miasta uliczne światła zegnały zakochanych.

- Dlaczego przyszedłeś dzisiejszego wieczoru? - spytała w końcu. - Przecież nie zamierzasz zostać w Arkadii. Pamiętaj, że jesteś na prowincji, gdzie środowowe spotkanie w kościele jest najważniejszym wydarzeniem. Podoba ci się to, ponieważ jesteśmy inni, ale wkrótce się znudzisz i odejdziesz.

- Tylko nie mów mi, gdzie chcę być - oznajmił spokojnie.

Wplótł palce pomiędzy palce Andrei i przyciągnął ją bliżej. Pozostawiając uliczne światła za sobą, poszli w stronę zakrętu.

Woń ziół i kwiatów unosiła się w powietrzu. Nocne niebo zepchnęło za horyzont ostatnią plamę szarego światła i Arkadia zasnęła pod baldachimem jasnych gwiazd.

- Andreo, chciałbym to zrobić właśnie teraz, chociaż dotychczas potrafiłem zadowolić kobietę tylko w łóżku. - Zatrzymał się i położył dłonie na jej biodrach. - Jeśli się przeliczyłem, wyjdę na głupca, ale jeśli nie, nie zostawiaj mnie bez pomocy.

- Wiem, że chciałbyś się ze mną kochać, Sam, i przekonałeś się już, że ja również ciebie pragnę, pragnę zbyt mocno. Proszę, nie powiększaj tego jeszcze.

Wiedział, że te słowa oznaczają akceptację ich pożąda-

nia. Rozumiał także, jak grube mury obronne zbudowała wokół siebie.

- Nie sądzę, aby wystarczyło mi twoje ciało, Andreo Fleming. Myślę, że moglibyśmy mieć znacznie więcej. Pragnę cię całować, dotykać i czuć na sobie każdą cząstkę twojego ciała. To wszystko prawda, ale... Ale zaczynam również myśleć, że to za mało.

- Za mało? - Nie wiedziała, czy dobrze rozumiała znaczenie jego słów. Po chwili wpadła w pułapkę czułego, łagodnego uśmiechu, z radością witając pocałunki.

Uwielbiała go całować. To doznanie znacznie przerażało jej oczekiwania. Jego usta były miękkie i zmysłowe, dotyk języka wprawiał ją w najwyższe uniesienie. Dłonie Sama rozpoczęły wędrówkę po ciele Andrei; reagowała z niespotykaną dotąd wrażliwością. Westchnęła, gdy dotknął jej piersi.

Nie pozostała bierna. Wplotła palce w jego ciemne, gęste włosy, potem zsunęła powoli rękę po umięśnionych plecach aż do bioder.

Czuła się oszołomiona; do jej świadomości docierało jedynie przyspieszone bicie serca, ale czy to było jej serce czyjego - nie potrafiła już rozróżnić. Nikt nigdy nie działał na nią w taki sposób. Ten mężczyzna rzucił na nią czar, któremu z prawdziwą przyjemnością uległa.

- Oho! - Naciągnął szybko sukienkę na jej piersi. - Ktoś nadjeżdża, kochanie.

- Co?

- Nadjeżdża samochód. Stoimy na środku szosy. Czy mogłabyś przejść kilka kroków?

- Przejść kilka kroków? Oczywiście. - Okazało się to jednak trudniejsze, niż przypuszczała.

Światła pojazdu rozjaśniały mrok wokół nich. Andrea wstrzymała oddech. Pocałunki Sama pozostawiły jej ciało w stanie ogromnego napięcia, uśpione uczucia zostały rozbudzone, jej niepokój nie miał granic.

Tylne światła samochodu znikły w ciemności i Sam znowu wziął Andreę w ramiona.

- Chodźmy do samochodu - powiedział. - Zaparkowałem na skraju lasu, niedaleko stąd.

- Pożyczyłeś samochód, zaparkowałeś tutaj i na piechotę poszedłeś do miasta? A potem zaproponowałeś mi jeszcze odprowadzenie do domu? Jesteś szalony.

- Masz rację, ale to Otis. Otis powiedział mi, że mężczyźni zawsze odprowadzają po spotkaniach swoje wybranki. Chciałaś być adorowana, a ja chciałem uczynić nasz związek normalnym; takim, jaki oferował ci Ed. Poza tym chciałem mieć pewność, że starczy nam czasu na drugi plan Otisa.

- Boję się spytać, co to miało być.

- Przejazdźka do Dębu Zakochanych.

- Rozumiem. - Doszli do zakrętu i Andrea zauważyła samochód ojca. - Już wiem, od kogo pożyczyłeś ten samochód. No dobrze, a co mielibyśmy robić pod Dębem Zakochanych?

- Cóż, zgodnie z tym, co mówił Otis, mam zaparkować na brzegu strumienia lub właśnie pod samym drzewem, a potem oboje mamy słuchać koncertu świerszczy i żab. - Otoczył ją ramieniem i prowadził do samochodu.

- A potem? - Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Sam uczniem Otisa! To tak jakby Fred Astaire był uczniem Daffy'ego Ducka.

- A potem mam cię pocałować.

Stali naprzeciwko siebie i obserwowali wspinaczkę księżycyca po niebie. Pośpiech zniknął. Sycili się teraz w spokoju swoją obecnością, dzielili się czymś nieokreślonym, czymś pięknym. Kiedy w końcu księżyc wyrwał się z objęć chmur i rozsiały po polach srebrne promienie, Sam pocałował ją.

Potem posypały się kolejne pocałunki. Reagowała na jego pieszczoty w sposób zupełnie nieoczekiwany. Czują

się jak nastolatka podczas sekretnej randki z niedobrym chłopakiem, który porwał ją najszybszym wozem w mieście. Ale chłopak nie spytałby jej, czego pragnie. Przeprowadziłby podbój według własnego planu, a potem oboje udawaliby, że nic się nie stało. Ten niedobry chłopak jej pozostawiał decyzję.

- Sam - wyszeptała ze ściśniętym gardłem. - Przyzwoite dziewczęta nie parkują pod Dębem Zakochanych podczas swojej pierwszej randki. A na spacer jestem już zbyt zmęczona. Odwieź mnie do domu, proszę.

- Jak sobie życzysz - odpowiedział bez wahania i pomógł jej wsiąść do wozu.

Droga za miastem była zupełnie nie oświetlona; okolica pusta, żadnych domów, żadnych samochodów, jak gdyby byli jedynymi ludźmi na świecie.

- Jesteśmy zupełnie sami, Andreo. Podoba mi się to, bardzo mi się podoba.

Wyciągnął rękę, a Andrea bez słowa położyła głowę na jego piersi.

- Czy robiłeś to kiedykolwiek wcześniej? - spytała z uśmiechem.

- To znaczy co? Czy obserwowałem wędrowną księżycą z kimś... bliskim mojemu sercu? Nie, niezupełnie tak.

- Nie o to mi chodziło. Czy już wcześniej prowadziłeś samochód w ten sposób, jedną ręką?

- Nie. Wiem, że może cię to zdziwić, ale kobiety, z którymi byłem, zawsze prowadziły swoje własne samochody.

- To trudne do pojęcia. Sam - musiała wypowiedzieć na głos tę myśl - czy Buck pożyczył ci swój samochód, chociaż wiedział, że masz nieaktualne prawo jazdy?

- Proszę, kochanie. Nie psuj tego wszystkiego aresztowaniem. Już zacząłem załatwiać sobie nowe papiery.

W przeciwnym razie nie mógłbym prowadzić własnej ciężarówki.

- A jak zamierzasz kupić ciężarówkę?

- Nie martw się, mam plan. Mam wiele planów.

Wstrzymała oddech, gdy Sam powiódł palcem po jej podbródku, a potem niżej, do piersi.

- Dobrze. Nie zaaresztuję cię, jeśli mi coś obiecasz.

Nastąpiła chwila ciszy. Czowała napięcie emanujące od Sama. Jechał zbyt szybko. W końcu wciągnął powietrze głęboko w płuca i zwolnił.

- Nie jestem zbyt dobry w obietnicach, ale spróbuję. Co miałaś na myśli? - spytał ostrożnie.

- Nie chciałabym, abyśmy się kochali tej nocy. Oboje dobrze wiemy, że to mogłoby się stać. Chcę, potrzebuję... poznać cię bliżej. Gdybym tylko potrafiła przerwać pocałunki na czas wystarczający, aby móc się czegokolwiek dowiedzieć...

- Nie ma problemu. Opowiem ci o sobie wszystko. Mam trzydzieści dwa lata. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy, ale niezbyt dużo. Lubię zwierzęta i dzieci. Jestem z zawodu cieślą, nie mam stałej pracy i prawdopodobnie nigdy nie będę miał. To w zasadzie wszystko, Andreo Fleming. - „Z wyjątkiem tego - mógł dodać - że moja ostatnia konfrontacja z prawem zakończyła się pobytem w więzieniu w innym południowym miasteczku podobnym do Arkadii”.

Mów poważnie, Sam. Przyszedłeś na spotkanie kościelne. Było to dla mnie niespodzianką; doceniam to, co próbowałeś powiedzieć. I jeśli chcesz przez jakiś czas należeć do mnie, myślę, że powinniśmy się posuwać krok po kroku. Chyba niezbyt dojrzałe to zabrzmiało?

Sam znowu wziął głęboki oddech i skręcił w drogę prowadzącą do domu Andrei.

- Spróbuję, choć wątpię, czy starczy mi opanowania. Do diabła, nie wiem nawet, czy mi się naprawdę podobasz;

może po prostu twój mundur tak na mnie działa. Czy całowanie jest zabronione?

Czuła, że wpija palce w jej ramię.

- Nie - zaprzeczyła i zaraz zrozumiała, że jest już zgubiona. - Zgodnie z kodeksem porucznik Fleming całowanie jest jednym ze sposobów bliższego poznawania się. - Rozchyliła usta i odrzuciła głowę do tyłu. - Bardzo osobisty sposób poznawania się.

Teraz Sam się wycofał.

- Tak, kochanie, no tak. Nie wiem, jak jest z tym na całym świecie, ale mam nadzieję, że ludzie w Arkadii poznają się naprawdę szybko. Moje ciało nie zniesie długo tego przyjacielskiego związku.

- Ach, Sam! Właśnie to mam na myśli. Naprawdę wciąż niewiele o tobie wiem.

Oparł się o siedzenie i złożył ręce na piersiach.

- Dobrze, co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

Z trudem powstrzymała chęć wtulenia się w ramiona Sama. To był jej pomysł i musiała sprawę doprowadzić do końca.

- Jesteś żonaty?

- Jeszcze nie. Ale zalecam się do pewnej dziewczyny.

- To mi się podoba. Dziewczyna Sama Farleya.

- Świetnie, w takim razie wszystko idzie dobrze. Otis twierdził, że właśnie to powinienem najpierw osiągnąć.

Dobranoc, kochanie.

- Jedziesz? - Tym razem nie próbowała nawet ukryć rozczarowania.

- Tak. Nie chcę, ale jadę. - Wysiadł z wozu, otworzył drzwi Andrei i wziął ją w ramiona.

- Och, Sam. Dobranoc. Przyjdź w sobotę na kolację. Pobujamy się na huśtawce i porozmawiamy poważnie.

- Dobrze. Z przyjemnością przyjadę na kolację. - Odprowadził ją do drzwi, grzecznie pocałował w policzek i odjechał.

Czuł przyjemne zmęczenie, gdy nocne, chłodne powietrze owiewało jego twarz. Ostatni raz przydarzyło mu się odprowadzać dziewczynę wieczorem do domu, całować przed drzwiami i odejść, nie spędzając z nią nocy, wiele lat temu, kiedy uczestniczył w szkoleniu wojskowym na wyspie Parris.

Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze nawet jedenastej. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze. „To pewnie zasługa tego świeżego powietrza” - pomyślał i zaczął nucić jakąś wesołą melodię.

RS

Rozdział ósmy

Sobotni ranek w Arkadii nie był porą odpoczynku. Wybiła dziesiąta, a Buck nie pojawił się jeszcze w biurze. Andrea niepokoiła się. Od spotkania w kościele nikt nie pytał o Sama. Całkowite milczenie w tej sprawie było bardziej wymowne niż wcześniejsza ciekawość. W końcu Andrea poszła na pocztę i odebrała przesyłki. Przeglądając je, natrafiła na zaadresowaną do siebie.

Już w momencie otwierania koperty wiedziała, co jest w środku. Kopia raportu policyjnego z Arkansas, dotyczącego Sama Farleya.

Siedem lat temu Sam został aresztowany i skazany za włamanie do warsztatu samochodowego. Odsiedział trzy miesiące, zanim pracownik przyznał, że tak naprawdę to nie widział zbyt dobrze włamywacza. Znalaziono więc świadka, który chętnie zeznał, że dokładnie w tym czasie, kiedy zdarzył się rabunek, podwoził Sama do miasta. Sprawa wróciła do sędziego; ten odwołał oskarżenie i Sam został wypuszczony na wolność.

Wracała wolnym krokiem do komisariatu. Najróżniejsze myśli bombardowały jej głowę. Teraz zrozumiała, skąd u Sama tak wielka nieufność do małych miasteczek. To właśnie małe miasteczko zdradziło najpierw jego matkę, potem jego samego. Przekonał się na własnej skórze, w jaki sposób traktuje się obcych.

Żałowała, że wcześniej nie wzięła pod uwagę przeszłości Sama. Tylko dlatego że została kiedyś zdradzona, spodziewała się teraz tego samego z jego strony. Tymczasem on miał całkiem podobne doświadczenia.

Najpierw opuściła Andreę matka, potem Dawid. Przez pięć lat unikała jakichkolwiek związków uczuciowych, obawiając się kolejnych rozczarowań. Teraz w jej życiu pojawił się Sam i skruszył w sercu lody obojętności. Mimo to nadal oboje byli udęczeni przeszłością.

Andrea włożyła kartkę do kieszeni. Skoro Sam zaryzykował, przybywając do miasta, ona zaryzykuje, zatajając szkodliwe dla niego informacje. Raport przesłano bezpośrednio do niej, więc nikt inny nie mógł go znać.

Kiedy wróciła do komisariatu, Buck siedział już za biurkiem. Pierwszy raz, od czasu gdy nieoficjalnie przejął na siebie obowiązki nadzorca budowlanego, miał na sobie mundur.

- Już skończyliście prace?

- Prawie. Zdecydowałem, że pora wrócić do pracy. Mam nadzieję, że nie zapomnisz przygotować kolacji dla Sama na dziś wieczór. - Spojrzał poważnie na córkę, po czym schylił głowę i zaczął przyglądać się ołówkowi w swoich dłoniach. - Może chciałabyś o tym porozmawiać?

- Och? - Z trudem powstrzymała się od uśmiechu. Zdawała sobie sprawę z tego, że Buck zaraz wygłosi mowę, której nie wygłosił dziesięć lat wcześniej. Była wówczas szesnastoletnią dziewczyną i wybrała się w tajemnicy razem z Madge do Cottonboro, aby zdobyć pierwszą w życiu receptę na pigułki antykoncepcyjne.

- Cóż - zająknął się. - Przyznasz chyba, że Ed Pinyon jest najkorzystniejszym kandydatem na męża w całym okręgu Meredith. Jest młody, przystojny, bogaty i chce cię. Mimo to odtrąciłaś go. Lubię Sama Farleya, ale on jest... prawdziwym mężczyzną, Andy, i...

- Tak? - Mogła mu pomóc, ale widowisko było tak

wyśmienite, że powstrzymała się od jakichkolwiek komentarzy.

- Do licha z tym! Andy, chcę ci tylko powiedzieć, że cię rozumiem. - Noga w gipsie głośno uderzyła o podłogę. - Rozumiem, że jesteście dwojgiem dorosłych ludzi, którzy pragną... być razem.

- Być razem? Tak, Buck. To prawda. Sam mówił mi o tym już kilka razy. Nie jest również tajemnicą, jak przypuszczam, że się nim interesuję. - Nie wiem naprawdę, jak sobie z tym poradzić. Przecież on jest w Arkadii jedynie przejazdem, a ja czuję pokusę... aby zostać przy nim. To niebywałe, nie mogę wprost uwierzyć, że stoję teraz przed własnym ojcem i zwierzam się ze swoich sercowych rozterek.

„Jedno jest pewne - pomyślała, słuchając słów Bucka - musiałam mieć uczucia wymalowane na twarzy, wtedy gdy schodziłam ze wzgórza". Podeszła do kranu i zwilżyła usta zimną wodą.

Buck, on uważa, że nasze uczucie się rozwija. Zaleca się do mnie. Czy jesteś pewien, że powinnam się w to angażować?

- Andreo, pewien jestem tylko jednego. Powinnaś przygotować wyborną kolację na dziś wieczór i ubrać się tak, aby nie wyglądać na policjantkę. Najlepiej będzie, jeśli się zaraz weźmiesz do pracy. I jeszcze jedno. Wrócę do domu bardzo późno. Umówiłem się z Otisem na partyjkę pokera. Będziemy grali tutaj, więc prawdopodobnie... - Zrobił chwilę przerwy, pokręcił się na krześle i błyskawicznie dokończył: - Prześpię się z tyłu, na pryczy w areszcie.

Andrea uśmiechnęła się do siebie. Dobry, stary ojciec. Pozostawiał ją w domu sam na sam z mężczyzną, którego wybrała. Pocałowała z wdzięcznością Bucka i wyszła.

Steki, które wyjęła rano z zamrażarki, były gotowe do przyrządzenia. Ziemniaki włożyła do piecyka. Na stole, na dużym talerzu leżały czekoladowe ciastka, a w lodów-

ce czekał, również przygotowany przez Louise, sernik. Andrea wyłączyła wentylator i stała przez jakiś czas, czując na twarzy odświeżający powiew chłodnego powietrza. Postanowiła najpierw wziąć prysznic, a potem dokończyć przyrządzanie sałatki.

Rozebrała się i zanim weszła pod prysznic, przyjrzała się sobie w lustrze. Odkręciła zimną wodę i poddała rozpalone ciało chłóście lodowatych strumieni. Seks i namiętność znaczyły dla niej: Sam Farley. Wyobraziła go sobie w kąpeli, obok siebie i poczuła dreszcze pożądania.

„Już zdecydowałam, że pragniesz tego mężczyzny. Wyzbądź się niepotrzebnych lęków. Trzymaj się go, póki tu jest. Przyszłość nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Posunęłaś się już zbyt daleko, nie można tego cofnąć. Być może to tylko przyjemna zabawa”.

Wyszła spod prysznica, wytarła się i założyła jedyny prowokacyjny ciuch, jaki miała - obcisłą sukienkę z dużym dekoltem i złotym suwakiem z przodu.

Zrobiła dokładny makijaż, nadając powiekom brązowy odcień i kładąc na rzęsy odpowiednią warstwę tuszu. Czarne włosy opadały luźno na ramiona. Chciał, żeby wyglądała ekstrawagancko, więc pragnęła spełnić jego życzenie.

Ostateczny rezultat jednak jej nie zadowolił. Kiedy zsunęła sukienkę na uda, usłyszała pukanie do drzwi.

- Andrea? - Był już w środku.

„Och, nie - pomyślała - Znając go, zjawi się za chwilę w sypialni”. Pospiesznie założyła na siebie pierwszą lepszą spódnicę i bluzkę, na stopy wsunęła sandały w kolorze arbuza i wychodząc z pokoju, wzięła jeszcze kilka chusteczek. Była Andrea Fleming z Arkadii w stanie Georgia. Była dziewczyną z prowincji i ukrywanie tego nie miało najmniejszego sensu.

- Chwileczkę. - Po drodze do salonu próbowała zmazać makijaż. Kiedy wreszcie znalazła się na miejscu,

przeżyła prawdziwy szok. Patrzyła na Sama, lecz nie widziała własnym oczom.

Miał ręce pełne kwiatów: cynie, lilie, fiołki, hiacynty i róże we wszystkich kolorach. Do kwiatów przywiązał długie kolorowe wstążki z balonami oraz opadające do samej podłogi papierowe serpentyny. Gdyby nie poznała jego głosu, prawdopodobnie nigdy nie zdołałaby przekonać samej siebie, że za tą oślepiającą jasnością stoi Sam Farley.

- Witam, kochanie. - Wypuścił z rąk kwiaty i patrzył, jak balony wzbijają się w górę, wirując i tańcząc pod sufitem jak motyle. Odwrócił się do Andrei i wziął ją powoli w ramiona. - Podobają ci się?

- Brak mi słów - powiedziała, dotykając uniesionych w powietrzu kwiatów. - Absolutnie brak mi słów. Skąd je wzięłeś?

- Zbierałem je przez cały poranek wszędzie, przy drogach i na polach. Wszystkie panie z Arkadii okazały mi wielką pomoc. Louise Roberts trzymała kwiaty w wodzie i pomogła mi powiązać je w bukiety. Jeśli chodzi o balony, sprawa była trudniejsza. Madge musiała w końcu sprowadzić je z Cottonboro.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy w Arkadii wiedzą? - Była oszołomiona. Nikt nigdy nie sprawił jej tak pięknej i zarazem słodkiej niespodzianki.

- Teraz? Na pewno. - Jego gęste włosy, które próbował uczesać, opadały ciemnymi lokami na twarz. Na ustach pojawił się miły uśmiech. Andrea czuła, że rozpie-
ra ją radość.

Czuła jego zapach. Zdawało jej się nawet, że intensywnością przerasta woń kwiatów. Był to ciepły zapach ziemi; przywoływał w myślach wiosnę i deszcz. Sam spojrzął głęboko w jej oczy. Kiedy ją pocałował, mrowienie, które poczuła najpierw w stopach, rozeszło się po całym ciele.

Sam niechętnie na chwilę rozluźnił uścisk, po czym pochylił się objął ją.

- Jesteś zdziwiona?
- Oszołomiona.
- Cieszysz się z naszego spotkania?

- Tak. - Słowa uwięzły jej w gardle. Widząc balony tańczące pod sufitem, miała wrażenie, że wiruje w wielobarwnej przestrzeni. Mocno chwyciła się Sama, jak gdyby podłoga uciekała spod ich stóp.

- Chodź, Kleopatro!

Każdy kolejny pocałunek potęgował uczucie rozkoszy. Ich ciała przywarły do siebie, jak gdyby próbując połączyć się w jedną nierozzerwalną całość.

- Kleopatra? - spytała nie rozumiejąc.
- Czyż nie na nią jesteś ucharakteryzowana?
- Och! - Andrea cofnęła się i spoglądając na Sama, dodała: - Właśnie chciałam zetrzeć makijaż, kiedy wszedłeś do domu. Zwykle tak nie wyglądam.

- A szkoda, to bardzo seksowne. Myślałem, że umalowałaś się dla mnie.

- Nie, to znaczy... tak. Przebrałam się i wtedy ty przyszedłeś, zanim... - Wiedziała, że płacze jej się język i nie zdoła sklecić żadnego sensownego wyjaśnienia.

Dopiero teraz dokładnie mu się przyjrzała. Jego buty były wypolerowane. Miał na sobie obcisłe dzinsy i bladoniebieską bawełnianą koszulę bez kołnierzyka; nie zapięta na trzy górne guziki odsłaniała gęsto owłosiony tors.

- Och, piękna. Mam nadzieję, że nikt inny nie widział cię z tak roziskrzonymi oczami i wypiekami na twarzy. Od jednego pocałunku cała płoniesz.

- Jesteś tego pewien?
- Czuję płomienie przez ubranie.
- To вина tego makijażu - powiedziała, opierając dłoń na jego piersi. - Poczekaj na mnie.

Przeszła przez sypialnię do łazienki. Zamknęła za sobą

drzwi i przywarła do nich plecami. Nigdy nie widziała czegoś tak niesamowitego. Sam Farley stworzył w jej domu czar, który znaczył więcej niż namiętność i seks przerastający jej marzenia. Bała się pomyśleć, jak bardzo uległa temu czarowi. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Sam miał rację. Płoneła.

Siedzieli przy małym stoliku, oświetlonym przez grube różowe świece, otoczeni kwiatami i serpentynami. Steki były świetnie wysmażone, chociaż ich przygotowanie zajęło Andrei więcej czasu niż zazwyczaj, ponieważ Sam bez przerwy przerywał jej pracę pocałunkami. Pieczone ziemniaki opływały topionym masłem.

Sam zabrał się do jedzenia z zapalem. Przez ostatni tydzień jadał tylko pieczone kurczaki, toteż stek stanowił dla niego upragnioną odmianę. Wypił łyk mrożonej herbaty.

- Czas na rozmowę, kochanie. Myślę, że uda mi się znaleźć w Arkadii dość pracy, aby zapłacić zaległe podatki.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zamierzasz tu pozostać? - Andrea ugryzła się w język. Nie powinna tego powiedzieć. Nie zabrzmiało to dobrze. Była przecież zdziwiona jego słowami, a nie rozczarowana.

Lekki niepokój pojawił się na twarzy Sama. Andrea wstała i podeszła do kwiatów. Co spodziewała się od niego usłyszeć?

- Przytnę te róże i włożę do wody. Wyglądają na znacznie słabsze od innych kwiatów.

Zanim doszła do kuchni, dogonił ją i odwrócił do siebie. Jego poważna mina maskowała zmieszanie. Przez chwilę milczał. Patrzył tylko, nie próbując jej nawet dotknąć.

- Nie odchodź znowu ode mnie, Andreo. Powiedziałem ci wcześniej, że nie wiem, jak należy postępować z kobietą taką jak ty. Wciąż robię błędy. Możesz nie doce-

niać moich wysiłków, ale nie gań mnie za podejmowanie próby.

- Nie, mylisz się. Nie chciałam podcinać ci skrzydeł. - Zraniła go. To była ostatnia rzecz, której się po sobie spodziewała. Przez moment pragnęła mocno go przytulić.

- Dlaczego tak trudno ci odpowiedzieć na moje starania, Andreo?

- Ponieważ... - wyszeptała. - Ponieważ zmierzasz w kierunku, w którym ja boję się pójść.

- A więc ty mnie prowadź - odparł, chwytając ją za rękę i spoglądając prosto w oczy. - Nie chcę cię do niczego zmuszać i powoli zaczynam się w tym wszystkim gubić. Dobrze wiesz, że cię pragnę, Andreo. Nie mógłbym tego ukryć, nawet gdybym się bardzo starał. Póki jednak nie jesteś pewna swoich uczuć, nie chcę ci niczego narzucać.

Westchnął, przełknął głośno ślinę i zrobił krok do tyłu.

- Cholera, ale komplikujesz człowiekowi życie. To znaczy.. . Chciałem powiedzieć... Nie sędzę, aby ten wentylator właściwie pracował.

Roześmiała się cichutko.

- Sam, zarówno termometr jak termostat wskazują niewiele ponad dwadzieścia stopni. Obawiam się, że to my jesteśmy zbyt rozpaleni. To, co się dzieje między nami, jest zbyt silne. Boję się tego. To nie może trwać.

- Być może, kochanie, ale ja zamierzam zaryzykować i sprawdzić. Zaryzykuj i ty, Andreo, najdroższa, niechaj porwie nas szaleństwo.

- Och, Sam. Powtarzasz to ciągle, a nie wiesz, czy ja tego pragnę. Brak w tym logiki.

- A czy logiczne jest to, że odziedziczyłem dom gdzieś w stanie Georgia, mimo że wcześniej nigdy nie posiadałem nawet jednego mebla? Czy logiczne jest to, że o mały włos nie zostałem aresztowany przez policjantkę o ciele równie pięknym jak ciała greckich bogiń, które jako mały chłopiec widziałem na ilustracjach w encyklopedii. Ach,

Andreo, pragnę pójść z tobą na werandę, usiąść na huśtawce i całować cię tak długo, aż oboje zechcemy robić nieprzyzwoite rzeczy, których na huśtawce na pewno nie udałoby się nam zrobić.

- A co z naczyniami?

- Zajęlibyśmy się nimi później, o wiele później.

Duży kremowy księżyc wyglądał teraz tak, jak gdyby rząd wysokich drzew wybił w jego środku dużą dziurę. Poruszane przez wiatr sosny zdawały się żegnać go dostojnymi pokłonami. Kochankowie stali przez chwilę na werandzie. Sam trzymał ją pewnie w ramionach. Oddychali świeżym letnim powietrzem, wzbogaconym teraz zapachem winnej latorośli.

Potem Sam pociągnął ją za rękę i usiedli razem na huśtawce, nawet na moment nie przestając się obejmować. Andrea położyła głowę na jego ramieniu. Przez dłuższy czas słychać było jedynie kumkanie żab, odgłos świerszczy i skrzypienie huśtawki.

- Sam.

- Andrea.

- Ty pierwszy - powiedziała, dotykając ustami jego szyi.

- Dobrze, chociaż trudno mi powiedzieć to, czego chcę. I wolałbym to uczynić wtedy, gdy oboje będziemy jeszcze przynajmniej na wpół świadomi, co się z nami dzieje.

- To się może już nigdy nie zdarzyć. - Ułożyła się w taki sposób, że kolana oparła o jego uda, a dłonią dotykała umięśnionej klatki piersiowej.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę szczęśliwy. Jeśli już nigdy nie doświadczę czegoś podobnego, to ten jeden jedyne raz będzie trwał w mojej pamięci. Zawdzięczam to Buckowi, Otisowi, wesołym i pogodnym mieszkańcom Arkadii,

a przede wszystkim... Przede wszystkim tobie, Andreo Fleming. Dziękuję.

Patrzył na spływające po jej policzkach łzy. Zaskoczył ją; zupełnie nie potrafiła wyrazić, co czuje. Wypełniła go wielka radość i ... ból. Zrozumiał bowiem, jak puste dotąd wiódł życie, jak niepoważnie traktował kobiety spotykane na swej drodze. A teraz bał się samego siebie; bał się, że mógłby zniszczyć szczęście, które łaskawie podarował mu los.

- Samie, czy jesteś pewien, że nie uda nam się zrobić tych nieprzyzwoitych rzeczy na huśtawce? - Chciała pozostać w tej pozycji, nie myśleć o przyszłości i nigdy nie opuścić jego ramion. Wiedziała, że istniały w jego sercu ciemne obszary, obszary skażone niepokojem i bólem, i pragnęła je wypełnić światłem.

Kiedy ich usta się spotkały, wszystko odeszło w cień. Pozostała jedynie ogromna namiętność. Powoli pieścił językiem jej twarz, szyję i ramiona; lekkimi pocałunkami pokrywał powieki i włosy, rozpalając coraz bardziej jej zmysły. Nie spieszył się i nie pozwolił Andrei zwiększyć tempa.

Przytulił ją mocno; dotykał piersi, gładził brzuch i stopniowo posuwał się w dół.

Wzdychając z rozkoszy, wygięła ciało w łuk i poddawała się lawinie jego pocałunków. Drżała. Z dużym wysiłkiem powstrzymywała pożądanie, które gwałtownie domagało się zaspokojenia. W końcu nie mogli już dłużej zachować spokoju. Oboje ciężko oddychali. Andrea doświadczała dziwnego uczucia - porwał ją wir rozkoszy, to prawda, ale przecież nie tylko to.

I wtedy Sam wstał z huśtawki, wziął dziewczynę na ręce i zaniósł do środka. Drzwi zatrzęsnęły się za nimi.

- Powiedz, że mnie pragniesz, Andreo. - Jego głos był tak ochrypły, że ledwie rozumiała słowa. - Chciałbym to usłyszeć od ciebie.

Pozwolił, by stanęła; nie przerywał pocałunków. Kołysali się w objęciach, aż jej ciało zaczęło prosić o odprężenie.

- Tak, tak, Sam. Nie chcę, abyś kiedykolwiek odszedł.

Cierpliwość i łagodność prysnęły. Zdarli z siebie ubrania i Sam wtopił się namiętnie w ciało Andrei. Opadli na łóżko. Jak wzburzona fala Sam przetaczał się po jej ciele, wznosząc i opadając. Doprowadzał ją do szaleństwa, szepcząc słowa, które jej umysł rejestrował, ale których nie łączył w zrozumiałą całość. Wreszcie sięgnęli szczytu i Andrea, czując ostateczny dreszcz rozkoszy, krzyknęła. Łzy rześmistymi strumieniami spływały po twarzy dziewczyny. Sam zacisnął mocno palce na jej ciele, po czym jak fala rozpląnął się po bezpiecznym brzegu.

Wsluchiwali się w swoje oddechy. Wciąż był z nią złączony, jak gdyby jej ciało pochwyciło go i nie chciało puścić. Owładnęło nimi poczucie jedności tak silne i tak niezwykłe, że kiedy Sam poruszył się, objęła go jeszcze mocniej i trzymała przy sobie.

- Jestem zbyt ciężki - zaprotestował.

- Nie, lubię to. Lubię czuć, jak mnie wypełniasz swoim ciałem. Nie ruszaj się.

Kiedy w końcu Sam podniósł głowę, Andrea poczuła chłodny powiew z wentylatora. Zadrżała i przywarła ustami do ust kochanka. W jego dotyku wyczuwała teraz delikatność, ale i lęk.

- Huśtawki są cudowne, żeby zjeść na nich ciastko albo wypić lemoniadę, ale to, to napawa lękiem. - Przebiegł palcami po jej szyi i wspiął się na piersi.

Położyła się na nim.

- Co robisz, Andreo?

- Po prostu jestem blisko, przy tobie, Sam. Nie chcę, aby ta noc kiedykolwiek się skończyła. Pragnę cię dotykać i w ten sposób upewniać się, że jesteś obok. - Przytuliła się mocno, wsuwając nogę między jego uda i wplatając palce we włosy na torsie.

- Ale... kochanie, co z Buckiem?
- Nie wróci na noc. Możesz ze mną zostać.
- Andreo! Co... ludzie na to powiedzą?
- Boisz się o swoją reputację, Sam? Przestań, przecież to dla ciebie nic nowego. Ile już razy zatrzymywałeś się na kilka miesięcy w jakimś miejscu i znajdowałeś kobietę, która przyjmowała cię w swoim łóżku? - Nie oskarżała go. Chciała tylko, żeby wiedział, iż ta noc do niczego ich nie zobowiązywała.

- Myślisz, że liczyłem?

- Nie. Myślę tylko, że tak jak sam kiedyś powiedziałeś, jesteś świetnym kochankiem i nie powinnam wyobrażać sobie nic więcej. Nie rozumiesz, Sam? Wiem, że to wszystko wkrótce się skończy. Przepraszam za tę szczerść, ale musimy być świadomi faktów.

- A co byś powiedziała, Andreo, gdybym poprosił cię o rękę?

Po długiej chwili ciszy włączyła lampkę przy łóżku i zatopila wzrok w pięknym ciele mężczyzny. Światło nadawało jego ciemnej skórze lekki połysk, podkreślając każdy mięsień.

- Wolałbym, abyś się pospieszyła i podjęła decyzję, moja piękna. Nie mogę dłużej spokojnie leżeć, nie dotykając cię.

Wyłączyła lampkę.

- Przecież nie musisz - wyszeptala i wyciągnęła do niego rękę.

Po chwili trzymał ją tak mocno w objęciach, że nie sposób było rozpoznać, gdzie kończyło się jego ciało, a zaczynało jej. Poruszał się nieznacznie, pieszcząc ją dotykaniem. Z radością wyszła na spotkanie jego namiętności.

I wówczas było już za późno. Jej ciało wyręczyło umysł, dając wyraźną odpowiedź. Andrea była świadoma jedynie chwili obecnej, świadoma wyłącznie swojej miłości do Sama. Nawet jeśli wszyscy w Arkadii wiedzieli, że

Sam został u niej do rana, to i tak czuła się najbardziej kochaną ze wszystkich kobiet.

- Och, Sam - wyszeptała. - Pragnęłabym, abyś mnie nauczył, jak oddawać się z tobą prawdziwemu szaleństwu.

Nie chciała zasnąć, ale sen okazał się silniejszy od jej woli. Otworzyła oczy, dopiero kiedy poczuła wilgotne usta Sama na swoich piersiach. Przez chwilę leżała bez ruchu, czerpiąc rozkosz z tego doznania, potem zapragnęła poczuć na ustach jego pocałunki.

Palce Sama ześliznęły się tam, gdzie było już wilgotno. Jak długo pieścił jej ciało, zanim się obudziła? Rozpalona odpowiedziała niemal natychmiast gwałtownym drżeniem.

- Jesteś cudowny - wykrztusiła w końcu.

- Masz rację - przyznał leniwie. - Lepszy niż tost o każdej porze.

- Tost? Och, już prawie ranek. Spędziliśmy całą noc razem.

- Dobrze, tylko nie wmawiaj mi, że nigdy nie leżałaś w ramionach mężczyzny przez całą noc. - Nagle jego głos zmienił się i Andrea wyczuła, że odpowiedź ma dla niego duże znaczenie.

- Nie, nie zamierzam ci wmawiać nic podobnego, Sam. Wiesz, że nie byłam dziewicą. Przykro mi. Żałuję, że to nie ty byłeś tym, który... Ale to niestety nie ty. - Chciała się odwrócić, lecz Sam objął ją i przycisnął do siebie tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

W końcu rozluźniła się i zaakceptowała bezpieczną przystań, którą zapewniały jego ramiona.

- Kto cię zranił, kochanie? Kto sprawił, że straciłaś zaufanie do wszystkiego, co nowe i nieznanne?

Długo wahała się, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Mając dwadzieścia lat, zakochałam się. To wszystko moja wina. Niczego mi nie obiecywał.

- A potem cię opuścił?

- Tak, to znaczy - niezupełnie. Był policjantem, na ja-

kiś czas został przysłany do Arkadii. Po sześciu miesiącach odwołano go z powrotem do Atlanty. Pojechałam za nim. Och, Sam, on mi nic nie powiedział. Okazało się, że jest żonaty. Jego żona przyszła, aby się ze mną spotkać. Była w ciąży.

- Ale z niego... Powinnaś go była zabić.

- Chciałam. Chciałam również zabić samą siebie.

W końcu jednak wróciłam do domu, tu, gdzie mogłam czuć się bezpiecznie. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie opowiedziałam. - Teraz nastąpiła długa cisza. Andrea nie zdradziła swojej tajemnicy nawet Buckowi.

- Przykro mi, Andreo. - Wszystko się wyjaśniło. Nic dziwnego, że mu nie ufała. Obcy, który pojawił się wcześniej w jej życiu, zranił ją. Raz już zaangażowała się i pozostał jej po tym tylko ból i niesmak. Nie potrafiła od razu zaufać Samowi, a on nie mógł jej za to winić.

- No tak, ale przecież teraz było inaczej. Kochał ją. Po tych wszystkich latach włóczęgi odnalazł wreszcie miejsce, gdzie chętnie by spędził resztę życia, gdyby tylko udało mu się przekonać Andreeę, że jego zamiary i miłość są prawdziwe.

Nie było to łatwe i Sam nie bardzo wiedział, jakich słów powinien użyć. Ból i samotność tkwiły w niej tak głęboko. Czy Andrea w ogóle uświadamia sobie, jak bardzo go potrzebuje? Może właśnie tylko delikatny dotyk i ciepło mogły wyrazić to, co do niej czuł.

Pokrył pocałunkami twarz Andrei, łapiąc ustami słone łzy, spływające po policzkach. Ujął jej dłoń, odwrócił, aby pocałować wewnętrzną stronę, i położył na swoim sercu.

- Andreo? - Sam obrócił się, a dziewczyna leżała teraz pod nim. Palcami wyczuwał w ciemności jej brwi, nos; językiem wędrował po szyi. - Boję się wypowiedzieć te słowa, ale kocham cię, kocham cię całym sobą.

- Nie! - Próbowała go odepchnąć. Jego słowa odebra-

ły jej dech w piersi i czuła, że tonie. - Nie, nie mów tego. Nie chcę, abyś mnie kochał, Samie Farleyu. Nie możesz.

- Nic nie poradzę, kochana. To jest silniejsze ode mnie i zupełnie niespodziewane. Zaczęło się od tego, że zawisła nade mną jakaś chmura, która oblewała mnie pożądaniem, ilekroć się do ciebie zbliżyłem.

Pożądanie mogę jeszcze znieść, Sam. Przyznaję, że mnie również nie opuszcza ta chmura. Bo czyż w przeciwnym razie pozwoliłabym ci spędzić u siebie całą noc, wiedząc, że następnego dnia mówić już będzie o tym całe miasto?

- Andreo, naprawdę uważam, że powinnaś wreszcie uznać moją decyzję za fakt. Zaczynam wierzyć, iż można zaufać ludziom, z którymi się mieszka. Pragnę zdobyć twoje zaufanie. Pragnę, abyś ty nauczyła mnie żyć w tej społeczności.

- Ale przecież ty nie jesteś częścią tej społeczności, Sam. Wydaje ci się, że mi ufasz, ale to nieprawda. Gdyby rzeczywiście tak było, to byś... - Nie mogła mu powiedzieć, że wiedziała o aresztowaniu. Nie chciała jego szczerości. Nie chciała kochać Sama Farleya.

- To bym powiedział ci o tym, że byłem w więzieniu? Westchnęła. Musiał czytać w jej myślach.

- Tak - odparła chrapliwym głosem.

- Myślałem, że może znasz tę historię. Miałem wtedy dwadzieścia lat i znalazłem się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Rzecz zdarzyła się w małym miasteczku, w okolicach Little Rock w stanie Arkansas. Jakiś facet podjechał do stacji benzynowej, nabrał paliwa i korzystając z nieuwagi pracownika, ukradł pieniądze z warsztatu. Potem, słysząc, że nadjeżdża kolejny samochód, wybiegł tylnymi drzwiami i uciekł. Ja tylko przejeżdżałem, podróżując jak zwykle autostopem. Byłem obcy. Nie obchodziło ich to, że byłem niewinny.

- Och, Sam, tak mi przykro. Czasami dobrzy ludzie robią złe rzeczy. Ale nie wszystkie małe miasteczka są złe.

- Byłem spłukany. Nie miałem żadnej możliwości zapłacenia kaucji czy wynajęcia adwokata. Odsiedziałem w więzieniu trzy miesiące. Pracownik obsługujący stację przyznał w końcu, że to nie byłem ja, i oskarżenie wycofano. Właśnie wtedy zdecydowałem się wstąpić do marynarki.

- Tak mi przykro, że to ci się przydarzyło. - Pocałowała go.

- Kiedy opuściłem armię, rozpocząłem wędrówkę. Miałem chorą matkę. Tylko pracując na budowie, mogłem zarobić dość pieniędzy na leczenie. Poza tym ludzi na budowie nie interesuje, kim jesteś.

- Wiedziałaś, przepraszam, Sam. - Szeptala czułe słowa, gładząc jednocześnie jego ramię i piersi. Chciała go pieścić, chciała wszystko naprawić, zapewnić mu spokój. Jej delikatne pocałunki miały wyrazić to, czego w żaden sposób nie potrafiła ująć w słowa.

Powoli podsunęła się do góry. Potem zaczęła lekko poruszać biodrami. Kochanek odpowiadał na to westchnieniami. Nie dotykał jej nawet, pozwalając Andrei przejąć inicjatywę. I ona tego chciała, chciała się z nim kochać, chciała usunąć ból przeszłości. Nie wiedziała, co się stanie potem, ale tej nocy należeli całkowicie do siebie.

Kiedy znowu otworzyła oczy, łóżko tonęło w słonecznym świetle.

Sama już nie było. Na jego poduszce leżała czerwona róża, przewiązana różową wstążką.

Rozdział dziewiąty

Woń kwiatów unosiła się w powietrzu jeszcze kilka dni po tym, gdy Sam wypełnił dom Andrei balonami, a jej serce miłością.

Przez trzy ostatnie tygodnie spotykali się każdego dnia. Ten dzień jednak był szczególny, mieli bowiem pójść na piknik zorganizowany z okazji Święta Założenia Miasta. Sam cieszył się jak dziecko.

Zadzwoił telefon.

- Halo.

- Dzień dobry, Andreo. Mówi Lewis Kelly z Głównego Biura Policji w Cottonboro. Bardzo mi przykro, że cię niepokoję w takim dniu, ale potrzebujemy twojej pomocy.

Otrząsnęła się z cudownego snu, który jeszcze przed chwilą unosił ją na swoich skrzydłach, i usiadła na łóżku.

- Witam, Lewis. W czym mogę pomóc?

- Otrzymaliśmy informację od FBI, że dzisiaj z naszego stanu będzie wywożona skradziona ładowarka. Podobno była ukryta gdzieś w okręgu Meredith. Chcą ją przewieźć do Miami, a potem do Ameryki Południowej.

- Chcesz więc, abym jej poszukała?

- Nie. Przez ostatni miesiąc przeczesaliśmy z Edem Pinyonem i sędzią Thomasem niemal cały okręg i jak dotąd nic nie udało się znaleźć. Czy mogłabyś razem z Buc-

kiem sprawdzić odcinek drogi łączący Cottonboro z Arkadią?

Zanotowała opis sprzętu i zawiadomiła Bucka. Ledwie zdążyła się ubrać, ojciec rozmawiał już przez telefon z Agnes, informując ją, że muszą jechać do Cottonboro.

- Dlaczego jej to powiedziałeś? - spytała Andrea, skręcając na autostradę.

- Cóż, skoro sprzęt jest gdzieś tutaj, lepiej będzie ukryć przed zainteresowanymi fakt, iż go szukamy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś z okręgu Meredith może być zamieszany w tę sprawę?

- Istnieje taka możliwość.

- Ale, Buck! - zaprotestowała. - Przecież znamy tych wszystkich ludzi, ufamy im. Niemożliwe, żeby w Arkadii był jakiś złodziej.

- Czasami wydaje ci się, że bardzo dobrze kogoś znasz, Andy, ale tak naprawdę nie wiesz, co się kryje w umyśle tego człowieka. W pewnych okolicznościach ludzie robią dziwne rzeczy.

- Dobrzy ludzie. Czasami dobrzy ludzie robią złe rzeczy. To samo powiedziała Samowi, gdy opowiadał o swoim aresztowaniu. Sam...

Nie chciała o nim myśleć. Tego poranka musiała zachować trzeźwość umysłu.

Przez następne dwie godziny patrolowali swój odcinek.

- Niezbyt duży ruch - zauważył Buck, kiedy dojechali do końca wyznaczonego obszaru. - Przypuszczam, że większość ludzi zebrała się już nad jeziorem.

Po dziesiątej usłyszeli syreny, a po chwili dostrzegli w oddali migające niebieskie światła. Andrea-natychmiast włączyła światła w swoim wozie i gwałtownie nacisnęła pedał gazu. Ciężarówka przewożąca maszynę nie zatrzymała się. Andrea zjechała z szosy i próbowała przeciąć uciekinierowi drogę.

Kiedy ten zobaczył pędzący wprost na siebie wóz poli-

cyjny, gwałtownie wcisnęła hamulce, a ciężarówka wykonała na autostradzie dziki taniec.

- Uważaj, Andrea, zgubił to!

Wjechała w gęstą kępę trawy, obróciła się i uderzyła lekko bokiem wozu w maszynę. Zanim zdążyli zorientować się w sytuacji, nadjechał drugi wóz policyjny. Wybiegł z niego policjant i rozpoczął pogoń za kierowcą ciężarówki. Po chwili obaj zniknęli w lesie.

- Buck, zostań tutaj i przekazaj raport. Pomogę ścigać kierowcę. - Wyjęła pistolet i pobiegła do lasu.

- Bądź ostrożna, Andy!

Miała nadzieję, że uda jej się zająć kierowcę od tyłu. W lesie było gorąco i duszno. Pot spływał jej po czole i zalewał oczy. Zatrzymała się i wyteżyła słuch.

Cisza.

W końcu usłyszała jakieś kroki z prawej strony. Ktoś ukrywał się w zaroślach. Powoli zaczęła iść w stronę gęstego krzewu, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Skąd pomysł, aby zostać policjantką? Wreszcie znalazła się o krok od postaci ukrytej w zaroślach.

- Wychodź z rękami do góry albo strzelam!

- Andy! - Lewis wyprostował się. - Myślałem, że to facet, którego szukamy.

- Cholera! Gdzie on się podział?

- Nie wiem. Pewnie się gdzieś zaszył, o ile nie stracił przytomności. Dostyc mocno uderzył głową podczas hamowania. Zanim nadejdą posiłki, proponuję, abyśmy włożyli maszynę do ciężarówki.

Kiedy wyszli z lasu, wokół miejsca wypadku stało wiele samochodów.

- I nikt nie widział, jak przyjeżdżała? - Buck rozmawiał ze starym majorem.

- To musi być skradziony sprzęt - mówił Ed Pinyon. - Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

- Nie wracał tędy przypadkiem? - spytał z nadzieją Lewis.

- Nie. Czy któreś z was dobrze mu się przyjrzało? Lewis zaprzeczył ruchem głowy i dodał:

- Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że był wysoki i miał pokrwawione czoło.

Po stronie kierowcy przednia szyba była popękana i poplamiona krwią. Co prawda trzymała się jeszcze, ale uderzenie musiało spowodować poważne obrażenia głowy.

- Cóż - dodał Lewis - nie mogę pojąć, skąd się tutaj wziął. Ta ciężarówka jest jednak zbyt duża, aby poruszać się niezauważenie po bocznych drogach i mostach.

- Może ktoś mu pomógł - powiedział Ed. - Ale przecież u nas nie ma żadnych przestępców, chyba że... - zrobił długą pauzę. - Może nasz nowy przybysz; może on ma jakieś interesujące koneksje.

Przez chwilę Andrea nie wierzyła własnym uszom.

- Po prostu przegapiliśmy kryjówkę, Ed - włączył się ostro Buck.

Nadjechał następny wóz patrolowy i policjant zaczął kierować ruchem, umożliwiając czekającym samochodom ominięcie uszkodzonej ciężarówki.

- Andy, potrzebujemy tutaj twojej pomocy.

Natarczywe deja vu opanowało jej umysł. Spojrzała na Eda z niedowierzaniem.

- Sądzę, że nie masz na myśli tego, co podejrzewam, Ed. Jedynym bowiem nowym przybyszem w Arkadii jest Sam Farley.

Trafiłaś w dziesiątkę, Andreo. Co wiemy o tym człowieku? - Ed obrócił się w stronę Bucka. - Czy nie uważasz, że powinieneś go sprawdzić?

- Ale...- zaczął mówić Lewis.-Andrea już...

- Wie o Samie Farleyu wystarczająco dużo, aby wyjść za niego za mąż - dokończyła dziewczyna.

- Andy?! - chórem wykrzyknęli Ed i Buck, nie kryjąc zdumienia. Potem nastąpiła cisza.

- Aha, a czy ktokolwiek wezwał pomoc drogową? - Lewis przerwał milczenie, przypominając wszystkim o wypadku. Chociaż nie rozumiał decyzji Andrei, pozostawił tę sprawę na później.

- Ja wezwałem - odpowiedział Buck. - Nikomu jednak nie wolno dotykać ciężarówki, zanim nie przyjedzie FBI. - Wziął córkę pod ramię i poprowadził w kierunku wozu. - Wracaj teraz do miasta i kontroluj sytuację na pikniku. Skoro złodziej jest na wolności, ktoś mógłby wpaść na pomysł zorganizowania bandy pościgowej.

- Ale, Buck... - zaprotestowała, odwracając głowę i śląc Edowi przenikliwe spojrzenie.

- Idź już, Andreo. Porozmawiamy później. - Z trudem poruszał się o kulach, ale stanowczy ton jego głosu wykluczał jakąkolwiek dyskusję. Nie zamierzał pozwolić na to, aby Andrea rozmówiła się teraz z Edem Pinyonem. - Jesteś policjantką, Andreo Fleming, i jesteś w tej chwili na służbie. - Odwrócił się do pozostałych. - Jeśli chodzi o ciebie, Ed, myślę, że powinieneś również pójść na piknik. Miałeś wygłosić mowę, nieprawdaż? Chociaż jestem pewien, że i tak powiedziałeś już za dużo.

Andrea obiecała Lewisowi, że później z nim porozmawia, po czym opuściła miejsce wypadku. Spędziła około godziny w komisariacie, odpowiadając na telefony i zapewniając mieszkańców, że nie odbywało się żadne polowanie na niezwykle groźnego przestępcę.

Insynuacje Eda bez przerwy powracały w jej myślach. Pamiętała o tym, że Farley został już raz oskarżony o podobne przewinienie. To, że nie powiedziała Buckowi o przeszłości Sama, ciążyło jej na sumieniu. Miłość zaważyła na uczciwości i Andrei wcale się to nie podobało.

Chciała zadzwonić do Sama, zdecydowała jednak, że poczeka, aż sytuacja się nieco wyklaruje. Nie mogła mu

powiedzieć, co się stało. Tego ranka musiała być przede wszystkim porucznikiem Fleming z departamentu policji w Arkadii.

Sam dokończył reperację huśtawki, położył na siedzeniu dwie kolorowe poduszki, wstał i rozejrzał się wokół. Jeśli nie liczyć dwóch złamanych schodków, wiodących na werandę, był zadowolony ze swojego dzieła. To, co widział teraz przed sobą, dorównywało obrazowi, który przez lata nosił w myślach. Brakowało mu już tylko lemoniady, ciastek i... Andrei.

Próbował się skontaktować z nią przez cały poranek. Agnes powiedziała mu, że Andrea pojechała z Buckiem do Cottonboro w jakiejś sprawie służbowej. Nie zadzwoniła do niego i dlatego nie mógł się pozbyć niepokoju. Jakż to sprawa mogła ich zaabsorbować w dniu tak ważnego święta? Piknik miał się wkrótce zacząć i Sam nie mógł się już doczekać.

Ażeby wypełnić sobie czas, postanowił naprawić i pomalować dwa zaniedbane schodki. Zmierzył deskę i poszedł do znajdującego się za domem małego warsztaciku, gdzie trzymał narzędzia pożyczone od Louise Roberts. W ciągu ostatnich trzech tygodni szło mu naprawę dobrze,

zaczął więc oszczędzać pieniądze na zapłacenie podatków.

Dziesięć lat temu, kiedy rozpoczął swoją odyseję, obiecał sobie, że gdziekolwiek trafi, będzie w stanie zarobić na własne potrzeby. Udawało mu się to, a nawet więcej. Zaoszczędzone pieniądze przesyłał do małego banku w Południowej Karolinie, gdzie otworzył konto jeszcze przed wojskiem. Kiedy uregulował wszystkie rachunki za szpital i leczenie matki, został prawie bez grosza. Ale z pomocą Otisa i Brada udało mu się wyremontować dom i znaleźć pracę, dzięki której mógł spłacić używaną ciężarówkę. Poza tym w tak szybkim tempie otrzymywał propozycje różnych dorywczych prac, że wciąż miał szansę

na zapłacenie długów w wyznaczonym terminie. Andrea byłaby zdziwiona.

Sam wykonał stół stolarski ze starych drzwi znalezionych w stodole oraz czterech pieńków odpowiedniej wysokości. Położył na nim deskę i odmierzył właściwą długość. Potem sięgnął po piłę elektryczną i zaczął wycinać schodek. Odgłos narzędzia zagłuszył warkot silnika nadjeżdżającego samochodu.

Ed Pinyon zaskoczył go; w przeciwnym razie nigdy by mu się nie udało uderzyć Sama. Ten, chociaż ogłuszony przez cios, zdołał wyłączyć piłę, upuścić ją na ziemię i utrzymać równowagę.

- Do diabła! O co chodzi, Pinyon?

- Andrea Fleming jest moja, Farley. Czekałem na nią sześć lat. Nie ożenisz się z nią! Nie pozwolę, aby jakiś włóczęga bez życiorysu robił ze mnie pośmiewisko.

Sam zmrużył oczy, nie mogąc uwierzyć w słowa człowieka stojącego przed nim.

- Ożenić z Andrea? - Ed Pinyon musiał być pijany. Co się z nim działo? Sam dostrzegł w jego oczach desperację. Już wiedział, że powinien traktować tego mężczyznę poważnie.

Kiedy Ed zaatakował po raz drugi, Sam usunął się i przyjął cios na ramię. Nie został zraniony, ale poprzednie uderzenie sprawiło, że zachwiał się i upadł ciężko na ziemię. Ed odwrócił się i ponowił natarcie. Sam, próbując uciec, odturlał się na bok i czołem natrafił na ostrze piły. Ostatnia rzecz, jaką pamiętał, to widok słońca przebijającego przez gęste gałęzie olbrzymiego drzewa.

Kiedy przyszedł do siebie, Eda już nie było. Zostawił go bez pomocy, z rozciętym czołem i potwornym bólem głowy. Sam nie miał pojęcia, skąd Ed wiedział o tym, że on i Andrea chcą się pobrać. Rozumiał jednak jego reakcję na tę wiadomość. Przejął, co prawda, rolę Eda na jakiś czas, ale małżeństwo? Nie śmiał wyrazić na głos tego

pomysłu więcej niż raz, a Andrea wcale nie powitała tego z entuzjazmem.

Otarł usta i uśmiechnął się do siebie. Trudno było mu uwierzyć, że powalił go ktoś taki jak Ed Pinyon. Był czas, kiedy Farley połamałby mu wszystkie kości za samą groźbę.

Andrea jednak zmieniła to i zmieniła jego samego,

Nagle zapragnął usłyszeć jej głos. Poszedł do telefonu.

- Vera, co się dzieje?

- Zastanawiałam się, gdzie jesteś. - Vera opowiedziała mu o pościgu i wypadku.

- A Andrea? - spytał, czując niepokój. - Czy wszystko z nią w porządku?

- Tak, oczywiście. Jedzie teraz nad jezioro, aby dopilnować porządku podczas pikniku. Obowiązek zawodowy, wiesz.

- Do licha, czemu do mnie nie zadzwoniła?

- Próbowала, ale kiedy nikt nie podnosił słuchawki, pomyślała, że już poszedłeś. Jeśli się pospieszysz, masz jeszcze szansę znaleźć się tam przed nią.

- Dziękuję, Vera. Gdyby co, jestem w drodze.

- Ten drań uderzył się w głowę i zaczął uciekać do lasu. Potem przepadł jak kamień w wodę. - Ed przemawiał do grupy ludzi, stojąc na platformie, z której zwykle wygłaszano mowy polityczne.

Andrea unikała Eda, chociaż była na miejscu, wykonując swoje obowiązki. Niepokoiła się tym, co wcześniej powiedział Ed. Nie spodziewała się, że tak go rozdrażni jej związek z Samem. Najwyraźniej nie znała go dobrze.

Wytarła twarz jedną z olbrzymich białych chustek Buccka. Popatrzyła z zazdrością na nastolatków bawiących się głośno w wodzie i sama zapragnęła wskoczyć między nich.

Teraz tłum zwiększył się. Ludzie siadali w małych grupach pod stuletnimi, rozłożystymi dębami. Bufety miały

tego dnia świetne zyski. Andrea nie mogła się już doczekać przyjazdu Bucka. Coś wisiało w powietrzu, czuła to.

Była właściwie zadowolona z tego, że nie udało jej się dodzwonić do Sama. Wołała, aby na razie pozostał z dala od aktualnych wydarzeń. Jej wygadanie się w sprawie małżeństwa wynikało jedynie z gniewu; to przez to, że Ed oskarżył Sama o współudział w kradzieżach sprzętu. Nigdy w to nie uwierzy i nie pozwoli, aby ktokolwiek myślał, że to prawda.

Wracając do centralnego miejsca uroczystości, usłyszała niepokojące poruszenie w tłumie. Coś było nie w porządku. Złe przeczucie nie myliło Andrei. Zanim zdążyła tam dobiec, wiedziała już, że ci ludzie zgromadzili się wokół... Sama?

Co wam mówiłem o tamtym człowieku? - pytał zdecydowanym głosem Ed. - Czy ten mężczyzna ma zranioną głowę, czy nie?

- Niech nas drzwi ścisną - wykrzyknął ktoś z tłumu - jeśli nie stoi przed nami złodziej!

Teraz przemówił następny:

- Tak, dokładnie tak jak mówiłeś, Ed. Nic dziwnego, że w tak krótkim czasie udało mu się wyremontować dom i jeszcze kupić ciężarówkę.

- Zawołajmy Andy! - wykrzyknął trzeci.

- Nie Andy, głupcze - sprzeciwił się Ed. - Dlaczego miałyby aresztować swojego kochanka? Najprawdopodobniej ona sama czuwała nad jego bezpieczeństwem. Bo inaczej, czyż udałoby się złodziejom ukryć ładowarkę tak, aby nikt o tym nie wiedział?

Pośrodku rozkrzycanego tłumu stał z ponurą miną Sam Farley.

Andrea zaczęła iść w tym kierunku i nagle zatrzymała się, widząc na jego czole ślady po skaleczeniu.

Na widok nadchodzącej tłum się rozstał.

Andrea chciała krzyknąć na Eda. Do czego próbował

doprowadzić? Sam nie mógł być zamieszany w to, co się stało. To niemożliwe.

- Co robisz, Ed?

- Wygląda na to, że wykonuję twoją pracę - odparł z ironią. - Staram się odnaleźć człowieka, który wywoził z naszego stanu skradzioną maszynę. Co stało się z twoją twarzą, Farley?

Na moment dyskusja między obecnymi znacznie się ożywiła, a po chwili znów zamarła.

- Po co tracić czas na pytania? - zawołał ktoś z tłumu.

- To na pewno on. Zaaresztuj go, Andy.

- O co tu chodzi? - spytał spokojnie Sam.

Andrea podniosła rękę, aby zaprzeczyć idiotycznym oskarżeniom. Gdzie się podziewał Buck? Nie potrafiła opanować sytuacji. To była ostatnia rzecz, jakiej Andrea mogłaby sobie życzyć: Sam oskarżony na oczach wszystkich mieszkańców Arkadii. Wiedziała, że nie mógł być winny, i oni również doszliby do takiego wniosku, gdyby przez chwilę spokojnie pomyśleli. Ed jednak potrafił podżegać tłum i nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć. I rzeczywiście, co się stało z twarzą Sama?

- Wystarczy, Ed. - Podeszła do Sama. - Rozejdźcie się, proszę. Sam, zdarzył się wypadek, który miał związek ze skradzioną ładowarką.

- Nie rozumiem. Co ja mam z tym wspólnego?

- Złodziej uderzył głową o przednią szybę! - zawołał jakiś mężczyzna. - Andrea szuka go.

- Tak, i wygląda na to, że go nawet znalazła, co, Andy? - Ed przenosił wzrok z jednej osoby na drugą i kiwał z satysfakcją głową.

- Jak myślisz, Andreo, co powie? Czy to, że jest złodziejem? Dowód jest tu, na miejscu, tak oczywisty jak ślady skaleczenia na czole tego człowieka. Czy spełnisz swój obowiązek i zaaresztujesz go?

Zaniemówiła.

- Zaaresztować Sama?

- To właśnie należy do obowiązków policjantki: aresztowanie przestępców. Chciałaś wykonywać pracę swojego ojca, więc dalej, zrób to.

- Przypuszczam, że gdybym powiedział, iż nic nie zrobiłem, nie miałyby to żadnego znaczenia, nieprawdaż?

- Zadając pytanie, Sam patrzył na Andreę, nie na tłum.

- Być może ma jakieś alibi - powiedziała jedna z kobiet.

- No dobra, Farley - stwierdził Ed z charakterystycznym dla siebie przykrym uśmiechem na twarzy. - Gdzie byłeś o dziesiątej trzydzięci rano?

Sam im powiedz, gdzie wtedy byłem. Ty również tam byłeś. - Nadal patrzył na Andreę. Już kiedyś widział podobny wyraz twarzy i obserwował podobne zachowanie tłumy. A więc działo się to po raz drugi, z tym że teraz wątpliwość wyrażały oczy jedynej osoby na świecie, na której mu zależało.

W głosie Andrei pojawiła się nuta rozpacz; nie potrafiła tego ukryć w żaden sposób.

- Ciężarówka przewożąca skradzioną ładowarkę Johna Deere'a rozbiła się na autostradzie, Sam. Kierowca uderzył głową o szybę i uciekł.

- Rozumiem.

- Powiedz nam, Sam - poprosiła. - Powiedz im wszystkim, skąd wzięła się rana na twojej głowie.

Sytuacja była bez wyjścia. Bez względu na to, co się stało, wszystko legło w gruzach. Jeśli natychmiast nie odciągnie Sama od tłumy, oskarżą go znowu. Musiała coś zrobić, i to szybko. Bez względu na to, co mówiły jej serce i umysł, wciąż była policjantką, która przysięgała należycie wykonywać swoje obowiązki.

To nie mogło się naprawdę dziać. Sam dostrzegł na twarzy Andrei sprzeczne uczucia. Mógł tylko stać i czekać. Ed Pinyon zwyciężył, chociaż Sam nie przypuszczał

wcześniej, że toczyła się między nimi jakakolwiek wojna. Nie obchodziło go, co myślą inni, liczyło się jedynie zdanie Andrei. Jego słowa nie mogły tutaj niczego zmienić, a jednak musiał spróbować.

- Nie sądzę, abyś zamierzał powiedzieć, co się stało, Pinyon. A może się mylę?

- Ja? - Ed roześmiał się szyderczo. - Dlaczego miałbym ci pomagać? Dowód mają wszyscy przed swoimi oczami.

- Właśnie - zgodził się Sam. - Gdybym był na twoim miejscu, prawdopodobnie postąpiłbym tak samo. Nie wiem nic o ciężkim sprzeczce, Andreo, ale widzę, że moje słowa nie mają tutaj żadnego znaczenia. - Odwrócił się i poszedł powoli w stronę wozu policyjnego.

- Sam, poczekaj! - Zaczęła iść za nim.

Madge wbiegła między ludzi i chwyciła Eda za ramię.

- Ed, ty idioto! Dlaczego to robisz? - Pobiegnij za Andream. - Nie możesz aresztować Sama!

- Wiem, ale muszę go stąd wydostać, zanim stracę kontrolę nad tym tłumem.

Spojrzała dokoła. Irytacja ludzi rosła. Teraz Andrea nie miała już wyboru. Zwolennicy Eda zaczęli zachowywać się jak żądny krwi tłum ze starego westernu. Jeśli chciała ochronić Sama, musiała go aresztować, a potem na spokojnie pomyśleć, co dalej.

Odpięła od pasa pałkę.

- Z drogi, z drogi! - Po kilku ciosach tłum zaczął się rozpraszać. Zrozumieli, że Andrea nie żartowała. - Wsiadaj do wozu, Sam, szybko. Muszę cię teraz aresztować... dla twojego bezpieczeństwa.

Przez moment patrzył na nią ze smutkiem.

- Wiem. - Usadowił się z tyłu i obserwował Andream.

- Wydostaniemy cię stamtąd przed zapadnięciem zmroku - obiecała przez otwarte okno Louise Roberts.

- Wstyd mi za ciebie, Andreo Fleming - stwierdził z niechęcią ktoś inny.

- Głupie kobiety. - Głos Eda górował nad wszystkimi.
- Czego innego mogłyście się spodziewać? Zahipnotyzował wszystkich.

Andrea połączyła się z Buckiem przez CB-radio i opowiedziała mu, co się wydarzyło. Podczas całej drogi powrotnej marzyła tylko o jednym: aby szosa rozwarła się i pochłonęła samochód wraz z nimi. Czekala, aż Sam powie coś na swoją obronę. Ale nie powiedział. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze. Łzy zaczęły kapać z jej twarzy na koszulę.

- Przykro mi, Sam. Wiem, że tego nie zrobiłeś. To wina tego dzikiego tłumu Eda. Za dużo wypili, a potem zjawili się ze zranioną głową. Powiedz mi, co się stało, abym miała materiał obronny.

Sam siedział bez słowa ze ściągniętymi ustami; patrzył przed siebie. Wyraz twarzy Andrei oraz fakt, że go aresztowała, świadczyły o tym, jak bardzo mu wierzyła. Mógł to przewidzieć. Zaufanie było jedynie pustym słowem, które należało odnosić zawsze do innych ludzi.

- Nie zamierzasz się nawet bronić, Sam? Jeśli nie uderzyłeś głową o szybę w tej ciężarówce, to skąd ta rana?

- To było tylko takie gadanie, Andreo, prawda? Cała ta mowa o zaufaniu i akceptacji. Arkadia nie różni się niczym od innych miejsc. Wasze mury po prostu nie są widzialne. Cóż, raz już przez to przeszedłem, kochanie, więc wszystko zależy od ciebie. Czyń swoją powinność.

Zaparkowała przed komisariatem, otworzyła drzwi i czekała, aż Sam wysiądzie i wejdzie z nią do budynku.

- Nie zmuszaj mnie do tego, abym zamknęła cię za kratami, Sam. Powiedz mi prawdę.

- Prawdę? Nic by nie pomogło, kochanie. W tym przypadku prawda brzmi jak kłamstwo. Poza tym, kiedy twoi wspaniali obywatele mają wybierać między obcym

a przyszedł burmistrzem, moje szanse stają się podobne do tych, jakie ma śniegowa kula w samym środku piekła.

- Nie rozumiem.

- Nie? A ja tak. - Poszedł do celi i usiadł na ulubionej pryczy Brada. - Poczekam na Bucka.

Zamknęła drzwi i oparła głowę o kraty. Jak mogła bronić Sama, kiedy ten ze swojej strony wcale nie chciał jej pomóc?

Bała się. Okoliczności wyglądały na wyjątkowo niekorzystne. Kradzieże rozpoczęły się tuż przed przybyciem Sama. Nawet Buck uważał, że w sprawę zamieszany jest ktoś z miejscowych. Ale Andrea знаła w Arkadii każdego. To wszystko byli jej ludzie. Nie mogli uczestniczyć w przestępstwach na międzynarodową skalę bez względu na to, co sądził Buck. To sprawa kogoś obcego, a jedynym obcym był Sam.

Argumenty za i przeciw zmagaly się w jej głowie. I nagle przypomniała sobie Sama stojącego w jej salonie z kwiatami i balonami. Zaufanie? Obowiązek? Nie potrafiła rozstrzygnąć. Była pewna tylko tego, że on nie jest złodziejem. Chodziła niespokojnie z kąta w kąt. Świadoma bliskiej obecności ukochanego płonęła.

Od początku uznała go za przejściowy epizod w swoim życiu. Potem zaczęła robić plany na przyszłość i nawet uwierzyła mu. „Kocham cię, moja piękna” - powiedział ten jeden jedyny raz. Ona sama jednak nie uczyniła mu do tej pory takiego wyznania.

- Sam?

Cisza. Słyszała jego oddech, wiedziała więc, że jej słucha.

- Sam, proszę. Mogę nie mieć już okazji ci tego powiedzieć, a chciałabym, żebyś wiedział... - Zabrakło jej tchu w piersi. Uginały się pod nią nogi.

- Co, Andreo? - Jego głos był obojętny, pozbawiony wyrazu.

- Chciałabym, żebyś wiedział, że cię kocham. Areszto-

wanie ciebie było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam w życiu. Musisz zrozumieć, że chciałam w ten sposób uchronić cię przed gniewem tłumu. Spełniłam swój obowiązek.

- Tak to nazywasz?

- Tak, Sam, to mój obowiązek. Dowód był na miejscu, każdy mógł go zobaczyć na własne oczy.

- Naprawdę wierzysz, że jestem winny, Andreo?

- Oczywiście, że nie, ale nie o to teraz chodzi. Och, Sam, powiedz mi prawdę. Ufam ci. - Trzymała się kraty i patrzyła na mężczyznę ukrytego w cieniu.

- Tak mówisz, a jednak widzę wiele niepokojących pytań w twoich oczach oraz zgaduję to, czego twoje słowa nie wyrażają. Zaufanie nie jest synonimem miłości. Tak?

- Och, Sam, naprawdę cię kocham.

- Zatem proponuję, abyś spytała Eda, skąd wzięła się rana na mojej głowie. Przyczyna jego postępowania jest aż nazbyt oczywista. On o ciebie walczy, kochanie.

- Ed? Po prostu za dużo wypił. Zachowuje się jak głupiec, ale znam Eda od dziecka. Ufam...

- Ed jest mieszkańcem Arkadii, spędził tu całe życie i to automatycznie wyklucza go z jakichkolwiek podejrzeń. O to mi właśnie chodzi, Andreo.

Sam podciągnął stopy i rozłożył się wygodnie na łóżku. Odciał się od niej. Poczowała, że pęka jej serce, a ciało przeżywa ból. Sam był niewinny i musiała to udowodnić. Nie mogła pozwolić, aby jej miasto stało się jednym z ciemnych miejsc w życiu tego mężczyzny.

Dlaczego Sam poprosił Eda, aby ten wytłumaczył, skąd się wzięła rana na czole? Coś tu się nie zgadzało. I coś było nie w porządku na miejscu wypadku. Jeśli ciężki sprzęt magazynowano w okręgu Meredith, Ed powinien wiedzieć, gdzie. Przemierzał codziennie cały okręg wzdłuż i wszerz. Zdawał sobie sprawę, ile trzeba na to miejsca.

Jako właściciel tego rodzaju firmy, sam miał odpowiednie magazyny. Ed powinien... Ed!

Andrea błyskawicznie odwróciła się i wybiegła z komisariatu. Wcześniej zdążyła jeszcze tylko powiadomić Agnes, dokąd zamierzała się udać.

Pół godziny później przesłuchiwała przez płot otaczający tereny Eda. Człowiek znajdujący się w jednym z magazynów musiał sądzić, że była w zmowie z całą szajką, ponieważ nie próbował nawet uciekać. Założyła mu kajdanki, na co ostro zaprotestował, twierdząc, że nie jest złodziejem. Wynajęto go, aby przewiózł maszynę, to wszystko. Podał nawet imię i nazwisko swojego pracodawcy: Ed Pinyon.

Andrea połączyła się z Buckiem, prosząc, aby wziął Eda i przyjechał z nim do magazynu. Nie minęło dziesięć minut, a Lewis, Buck i zrezygnowany Ed Pinyon byli już na miejscu.

Lewis towarzyszył Andrei i jej więźniowi w powrotnej drodze.

- Co cię tknęło, Andy, aby szukać kierowcy właśnie tam? - spytał Buck, kiedy obaj więźniowie znajdowali się już w komisariacie.

- To był pomysł Sama - przyznała. - Coś mi zasugerował. Czy mógłbyś otworzyć celę i wypuścić go, Buck?

- Nie trzeba - powiedział spokojnie Sam, wychodząc na korytarz. - Cela w ogóle nie była zamknięta.

Odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że cela jest otwarta. Mimo to został w niej. Stał teraz przed Andrea z smutnym wyrazem twarzy. Jego milczenie sprawiało, że czuli ogromne wyrzuty sumienia. Co prawda, Andrea powiedziała, że jest niewinny, ale miała cień wątpliwości; nie potrafiła tego ukryć.

Sam wiedział, że musiał doświadczyć tej przykrości, aby Andrea poznała prawdę. Ta kobieta uczyniła z Arka-

dii coś w rodzaju płaszcza ochronnego, a teraz jeden z mieszkańców zawiódł ją.

Musiała wytłumaczyć:

- To był Ed. Skradzione maszyny ukrywano na terenie jego firmy.

- Och?

Nawet teraz oszukiwała siebie. Podawała Samowi fakty, zamiast przeprosić go za swoje podejrzenia.

- Przedsiębiorstwo Eda nigdy nie odnosiło tak wielkich sukcesów, jak można było przypuszczać na podstawie jego słów - dodał burmistrz. - Ażeby rozwinąć swoją działalność, potrzebował sprzętu. Sprzęt kosztował, a zatem potrzebne były pieniądze. Ed ich nie miał, a ze słabo rozwiniętą firmą nie miał też jakichkolwiek szans na start w polityce. Złodzieje dowiedzieli się o jego problemach i zaproponowali wymianę.

- Nie sądzę, aby zdawał sobie sprawę z tego, w co się pakuje - stanął w jego obronie Buck. - Potem padł ofiarą własnego sukcesu. Nie przypuszczał, by groziło mu aresztowanie, ale na wszelki wypadek warto było się zabezpieczyć, i stąd chęć poślubienia ciebie, Andreo. Jego przedsiębiorstwo budowlane stanowiło doskonałą kryjówkę dla maszyn, które potem sprzedawano w Ameryce Południowej, a poza tym Ed miał do dyspozycji potrzebny sprzęt.

- Dlaczego, Ed? - musiała zapytać. - Dlaczego mi to zrobiłeś? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Nie rozumiem.

- Zależało mi na tobie, Andreo. Wiem, że w to nie wierzysz, ale tak było. Po tym, kiedy zdarzył się wypadek i powiedziałaś, że zamierzasz wyjść za Sama, straciłem kontrolę nad sobą, a może nawet postradałem zmysły. Przepraszam. - Mówił to wszystkim drżącym głosem, pozbawionym obłudy. - Pragnąłem zostać burmistrzem

i pragnąłem, abyś ty została moją żoną. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić... To znaczy...

- Och, Ed. A co zrobiłeś Samowi?

- Po drodze na piknik postanowiłem do niego wpaść na chwilę i powiedzieć, że jesteś moja. Nie wiedziałem, co robić. Mój kierowca zniknął. FBI i policja przeszukiwali cały okręg. To wszystko spowodowało, że go uderzyłem. Tak, uderzyłem go. Czy możesz w to uwierzyć, Andy? Nigdy przedtem nikogo nie uderzyłem, nigdy w życiu. Upadł na ziemię i rozciął czoło o ostrze piły. Potem, kiedy zobaczyłem go podczas pikniku z raną na czole, zrozumiałem, że tego właśnie potrzebowałem. - Ed mówił drżącym głosem ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Andrea spojrzała na Eda, na człowieka, któremu ufała, tylko dlatego że całe życie mieszkał w Arkadii. Jakże była głupia. Mało brakowało, a dałaby się przekonać, iż Sam rzeczywiście jest winny. Czy mogłaby to kiedykolwiek naprawić?

- Och, Sam. - Odwróciła się, aby przeprosić mężczyznę, wobec którego tak poważnie zawiniła, ale jego już nie było.

- Idź za nim, dziecko - zachęcił Buck.

Kiedy wyszła na zewnątrz, Sam oddalał się powoli autostradą.

Szedł dumnie wyprostowany. Dwóch kierowców zatrzymało się, proponując mu podwiezienie, ale odmówił.

Nie mogła pójść za nim. To, co zrobiła, było niewybaczalne. Spaliła za sobą wszystkie mosty.

Rozdział dziesiąty

Andrea wyszła z domu i zaczęła wspinać się na szczyt wzgórza przy świetle księżyca.

Nie mogła pozbyć się bólu, który przywoływały wspomnienia tego, co się stało. Już od trzech dni nikt nie widział Sama. Nie odpowiadał na telefony. Nawet Otis nie był w stanie nawiązać z nim kontaktu.

Koniki polne i świerszcze śpiewały chórem, a robaczki świętojańskie tańczyły pośród gałęzi. Mimo to spokój i piękno gdzieś znikły. Andrea wiedziała, że Buck nie rozumie jej zachowania. Nawet ona sama nie rozumiała, dlaczego pozwoliła, aby Sam odszedł z jej życia. Teraz był już prawdopodobnie daleko i nie mogła go za to winić.

Oparła głowę o pień drzewa, pod którym pocałował ją kiedyś Sam.

Ze wszystkich sił starała się o nim nie myśleć. Gdyby potrafiła, ból byłby znacznie mniejszy.

- To nic nie da, Andy.

- Buck! Co ty tu robisz? Wiesz, że nie powinieneś jeszcze chodzić bez kul.

- Nic mi nie będzie. Nie mogę stać z boku i spokojnie patrzeć, jak cierpisz.

- Nie martw się o mnie, Buck. Wszystko będzie dobre, naprawdę. - Wyprostowała się, mając nadzieję, że ojciec nie dostrzeże łez.

- Andreo, nigdy wcześniej nie mieszałem się w twoje sprawy. Kiedy chciałaś opuścić Arkadię, było mi przykro, ale nie zatrzymywałem cię. Kiedy wróciłaś skrzywdzona i cicha, nie wypytywałem o nic. Wreszcie pojawił się Sam i widziałem, jak odżywasz. Chcę ci teraz powiedzieć coś, co powinienem był ci powiedzieć znacznie wcześniej.

- Proszę, nie udzielaj mi rad, Buck. Sama muszę poradzić sobie ze swoimi problemami.

- To nie jest twój problem, przynajmniej nie tylko twój. Ja również miałem w tym wszystkim udział. Chodzi o twoją matkę. Właściwie nigdy ci o niej nie opowiadałem i myślę, że nadszedł czas, abym to uczynił. Spotkałem ją w szpitalu dla weteranów, gdzie przebywałem na leczeniu. Wówczas kochałem inną kobietę, która wkrótce potem wyszła za mąż. Upiłem się i ożeniłem z twoją matką. Zawsze mówiłem ci, że opuściła Arkadię, ponieważ nie mogła znieść życia w małomiasteczkowej społeczności. Ale to nieprawda. Wyjechała, ponieważ nigdy nie dałem jej zapomnieć, że była tą drugą. Wiesz, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że ją kocham? Dopiero wtedy, gdy doprowadziłem do jej wyjazdu.

- Och, Buck. Tak mi przykro. Nie ze względu na siebie, ale ty... Musiałeś bardzo cierpieć.

- Byłem skończonym głupcem. Kiedy zdałem sobie sprawę ze swojej miłości, powinienem był jechać za nią, ale nie potrafiłem. Byłem tchórzem. Nie zrób podobnego błędu. Jeśli zależy ci na Samie Farleyu, jedź do niego.

Andrea nigdy nie była pewna, czy wierzy w to, co kiedyś opowiedział jej o matce Buck. Nie miała mu, jednak za złe tego niedopowiedzenia. Wcześniej wiedziała tylko tyle, że jej matka była pielęgniarką w szpitalu, w którym leczył się Buck. Ponownie wyszła za mąż w rok po opuszczeniu Arkadii, a jeszcze rok później zginęła w wypadku samochodowym.

- Och, tato. Nie wiem. To nie to samo. Sam nie jest taki jak ty. Nigdy mi nie wybaczysz.

- No cóż, to jest twoje życie. Chciałem tylko, żebyś wiedziała. - Buck zaczął niezdarnie schodzić ze wzgórza, opierając się na lasce, którą zastąpił kule. Kiedy doszedł do płotu, stanął i zawołał przez ramię: - Andy, nie cierpię się mieszać i wiem, że masz swoje problemy, ale chciałbym pojechać do Louise Roberts.

- Teraz? - spytała zdziwiona.

- Owszem. Na pewno słyszałaś to powiedzenie: „Lekarzu, lecz się sam”. Ja zamierzam skorzystać ze swojej własnej rady.

Andrea również zeszła ze wzgórza. Wzięła portmonetkę i klucze. Kiedy miała już wyjść z domu, zatrzymała się jeszcze, pobiegła z powrotem do sypialni, uczesała się i umalowała usta. Powiedziała sobie, że robi to wszystko, by zatrzeć ślady łez.

- Czy chcesz, abym później po ciebie przyjechała, Buck?

- Nie, nie planuję powrotu do domu dzisiejszego wieczoru. Może jutro. Powinienem ci to powiedzieć. To Louise była tą dziewczyną, która wyszła za kogoś innego. Być może los podarował mi drugą szansę. Ty również pamiętaj o swojej szansie, Andy.

Louise? Andrea uśmiechnęła się. Louise i Buck wydawali się stworzeni dla siebie. Obserwowała ojca znikającego w cieniu domu Louise Roberts. Zawróciła. Być może Buck miał rację, kiedy mówił o wykorzystywaniu szansy.

Skreśliła w kierunku domu Mamie Hines. Wydawało się jej, że minęły wieki, odkąd pojechała tam w nocy po raz pierwszy. Zupełnie tak jak wtedy w oddali słychać było gromy, błyskawice zaczęły przecinać letnie niebo. Nadchodziła burza.

Spodziewała się, że dom będzie ciemny i, jak wówczas,

zabity deskami. Jadąc aleją, dostrzegła jednak prześwitujące zza drzew światło. Nawet w mroku można się było zorientować, że okiennice pokryte są świeżą warstwą żółtej farby. Podmuch wiatru zatańczył na werandzie, wprawiając w ruch pomalowaną huśtawkę.

Andrea odczuła ulgę. A zatem wciąż tam był. Przez długi czas siedziała w ciemności, obmyślając plan. Doszła w końcu do wniosku, że musi po prostu stanąć przed nim z nadzieją, że on również zechce wykorzystać szansę i podjąć ryzyko.

Wysiadła z samochodu i zdenerwowana podeszła do drzwi. Nie były zamknięte. Nie wiedziała, jakie to ważne, dopóki ich nie otworzyła. Nagle poczuła się dobrze.

- Dobry wieczór, moja droga. Nie wejdiesz?

Płomyk z papierosa migotał przez chwilę, potem zniknął. Sam siedział na werandzie bez koszuli. Wokół bioder miał przewiązany ledwie widoczny w ciemności kawałek białego materiału.

Pchnęła drzwi i weszła do środka.

- Palisz - zauważyła nieco zmieszana. - Nie wiedziałam, że palisz.

- Wcześniej nie paliłem.

Ogarnęło ją poczucie niepewności. Słyszała swój oddech; jej serce biło mocno, a w umyśle zapanowała nagle pustka. Nie wiedziała zupełnie, co powiedzieć.

Sam wstał.

- Cieszę się, że przyszedłaś.

- Myślałam, że wyjedziesz.

Nocny ptak zaśpiewał w oddali. Andrea nigdy wcześniej nie czuła się tak niezręcznie.

- Cholera! - Gwałtowny ruch Sama przestraszył ją do tego stopnia, że krzyknęła.

- Poderwał się i wybiegł z werandy. Zza ściany zaczęły dochodzić dziwne odgłosy, a potem jęk zawodu.

- Do licha! Spaliły się!

Przeszła do kuchni. To, co tam zastała, było zdumiewające. Cienka warstwa mąki pokrywała szafki oraz całą podłogę. Pogniecione puste torebki po czekoladzie poniewierały się porozrzucane wszędzie. Opróżniona do połowy duża torba cukru i prawie pusta dwulitrowa butelka mleka stanowiły dominantę w ogólnym chaosie.

Pośrodku tego wszystkiego stał bosy Sam Farley w poplamionych mąką dżinsach i białym fartuchu. U jego stóp znajdowała się blacha do pieczenia ciastek, a obok niej porozrzucane po podłodze czarne kawałki czegoś nieokreślonego.

Na twarzy Sama malowała się prawdziwa rozpacz.

- Spaliłem je.

- Co ty robisz, Sam?

- A na co to wygląda? Piekę ciastka, podobnie jak kiedyś moja babka. - Schylił się i zaczął robić porządek, wrzucając odpadki do ogromnej puszkę, wypełnionej do połowy upieczonymi „błędami”.

Andrea rozejrzała się dokoła. Na półkach otwartych szafek i na stole zauważyła talerzyk, a na nich - przeróżne rodzaje ciastek.

- Po co, Sam? Po co upiekleś te wszystkie ciastka?

- Oczywiście po to, aby je zjeść z lemoniadą.

- No tak, oczywiście. Jak mogłam o tym nie pomyśleć.

- Do tego dochodzi huśtawka na werandzie. Jest niezbędna.

- Długo piekleś te ciastka?

- Cóż, ujmijmy to tak: jeśli ptaki lubią ciastka, starczy im żywności co najmniej na dwa lata. Nigdy nie sądziłem, że pieczenie może być tak trudną sztuką. - Odwrócił się do stołu i zaczął chować produkty spożywcze, które służyły mu do eksperymentów kulinarnych. - Dobrze, że w końcu przyszedł. To moja ostatnia torba cukru.

- W końcu przyszedłam? Chcesz przez to powiedzieć, że się mnie spodziewałeś?

- Wcześniej czy później. Udzieliło mi się to zaufanie, o którym mówiłaś. Myślę, że dobrze zrobiłaś, przekonując mnie do tego miasta. Po prostu czekałem tutaj pełen wiary. - Położył blachę do pieczenia na kuchennym blacie i ze wzrokiem utkwionym w podłogę powiedział: - Czy zechcesz wyjść za mnie, Andreo Fleming?

Ogarnęła ją wielka radość. Więc czekał na nią. Wiedział, że przyjdzie. Poczwała w oczach łzy szczęścia.

- Och, tak, zostanę twoją żoną, jeśli tylko mnie zechcesz.

Odgłos gromu dobiegł już z bardzo bliska, zerwał się silny wiatr, szarpiąc gałęzie drzew wokół domu. Sam odwiązał fartuch.

Andrea czuła, że serce wyrywa się z jej piersi. Spojrzeli na siebie.

- Jesteś tego pewna? Wciąż jestem obcy.

- Och, Sam, miałeś rację co do Arkadii. To ja się myliłam. Arkadia jest miastem podobnym do wielu innych. Mieszkają tu różni ludzie, źli i dobrzy. Byłam taka głupia. Potrzebowałam sanktuarium i dlatego uwierzyłam w to, iż Arkadia jest jakimś wyjątkowym, szczególnym miejscem.

- Niezupełnie się jednak myliłaś, Andreo. Arkadia nie jest idealna, ale jest szczególna. Taka była dla mojej matki. Dla nas też może stanowić oazę spokoju, gdzie babki wciąż pieką ciastka dla swoich wnuków i siedząc na huśtawkach, opowiadają wspaniałe historie o świecie i ludziach. Znaleźliśmy miejsce, gdzie nasza miłość, będzie mogła się rozwijać, wzrastać; znaleźliśmy nasze własne miejsce, nasz dom, Andreo.

- Kochany, cudowny Sam. Czy nie uważasz, że ciastka moglibyśmy zjeść jutro albo nawet pojutrze? Teraz chcę, abyś mnie całował, a sam wiesz, co się ze mną dzie-

je, gdy mnie całujesz. Przypuszczam, że nie wcześniej niż jutro opuścimy sypialnię i będziemy jeść ciastka i pić lemoniadę na huśtawce.

Sam wyłączył kuchenne światło i zrobił krok w kierunku Andrei.

- Wiesz co, kochana, właściwie nie potrzebuję już ciastek; zawsze potrzebowałem tylko ciebie.

Andrea nerwowo przełknęła ślinę, kiedy wziął ją w ramiona. Po chwili jego usta dotknęły jej ust.

Burza rozszalała się na dobre, bombardując dach kroplami deszczu i miotając oderwanymi gałęziami. Kolejna błyskawica rozcięła niebo i potężny grzmot zabrzmiał wśród nocy.

Sam ujął twarz Andrei i odchylił do tyłu, jakby chciał ją w ciemności zobaczyć.

- Och, Andreo, tak wiele pragnę ci dać. Kocham cię tak bardzo, że zamierzam zostać tu, w Arkadii, do końca życia, kochając cię, kochając...

Ukrył twarz w jej włosach, przytulając ją tak mocno, że poczuli się jednością. Na niebie zajaśniała błyskawica, tak jak kilka dni wcześniej nad jeziorem.

Burza była jednocześnie dzika i majestatyczna. Takim też wydawał się, Andrei Sam. Zrozumiała, że tak naprawdę nigdy nie chciała zdusić szalonej namiętności, którą obdarzył ją ten mężczyzna.

Nigdy nie zaznała takiej radości i nigdy już nie pozwoli jej odejść.

Oddać się szaleństwu wraz z nim?

O tak, już na zawsze.

Choćby miała iść za nim na koniec świata.